polemiki: rodziłam w „Pogodę dla bogaczy” 6

raport o stanie świerzbu 7

szopka noworoczna 1981 8–9
brat naszego Boga 13

mniej jedzą mniej piją... 14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

3
(30)
KONTAKTY
25 I 1981
Cena 4 zł

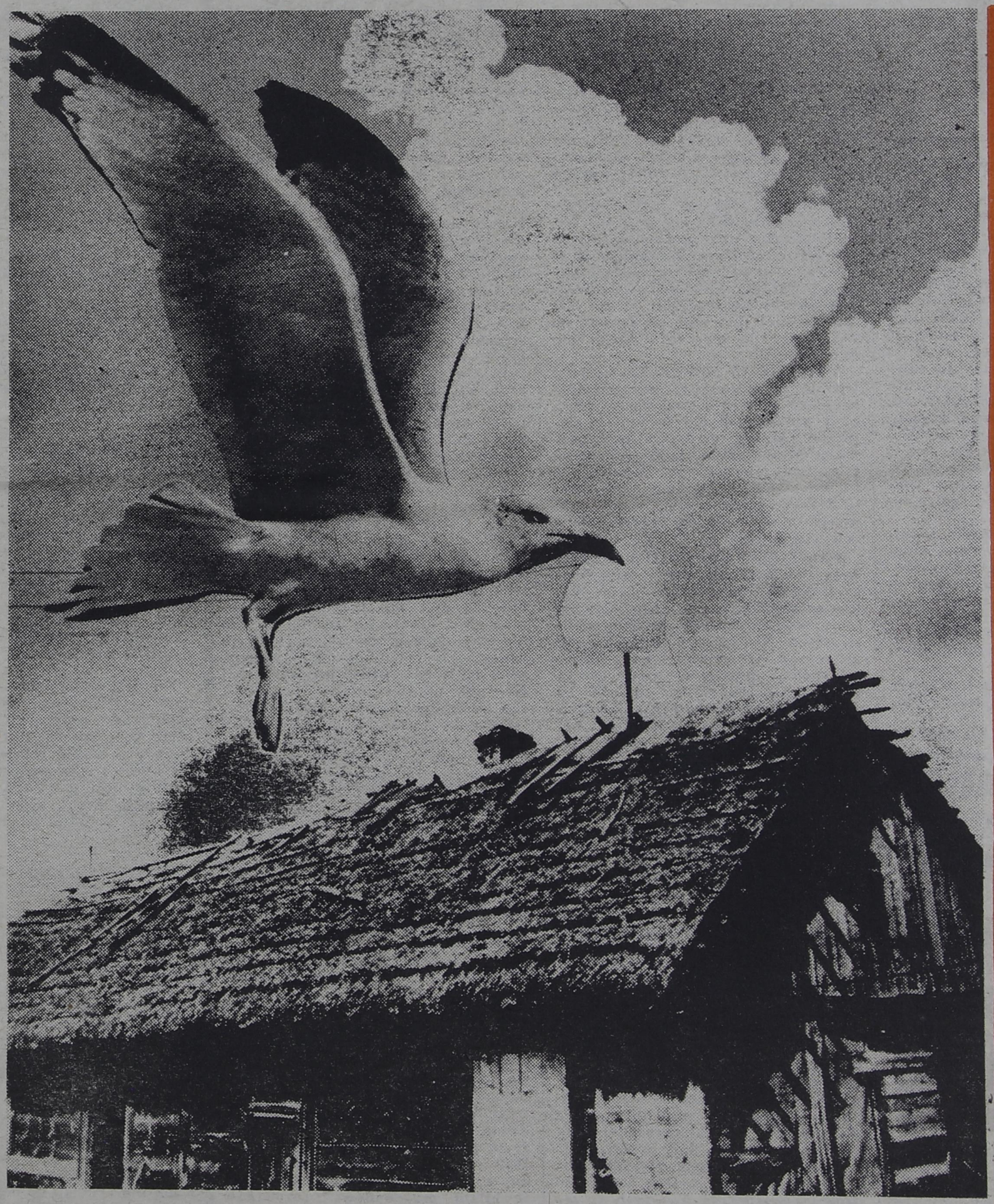

STARCIA
Klub Dyskusyjny „KONTAKTÓW”

myśleć bez komendy

Polski czas teraźniejszy eharakteryzuje, zapoczątkowana Sierpniem, gwałtowna galopada zdarzeń brzemiennych w skutki, których znaczenia nie sposób dziś do końca ogarnąć i rozeznać. Na ostrych zakrętach historii niejeden z nas gubi kierunek i często długo nie może go odnaleźć. Stąd te mocne Polaków rozmowy, starcia, dochodzenie swego i szukanie wspólnych płaszczyzn porozumienia.

W szczególnej sytuacji znalazła się partia. Jest teraz zawsząd atakowana, gdyż błędy jej kierownictwa: centralnego, wojewódzkiego i gminnego — biją rykoszetem w Bogu ducha winnych, uczciwych członków, ludzi idei. Partia przeżywa kompleks winy, spadającej nawet na tych, którzy w okresie funkcyjnego dyktatu odważniej niż ktokolwiek podnosili głos sprzeciwu. Ale co by kto nie myślał, nawet niechętny nam, przecież bez partii, bez zmian w jej wnętrzu, bez wzmocnienia jej pozycji, trudno sobie wyobrazić trwałość i skuteczność procesu odnowy. Dlatego działalność naszego klubu inauguruje, poprzedzający IX Nadzwyczajny Zjazd, cykl dyskusji — **Partia w czas odnowy.** Do udziału w niej zapraszamy wszystkich czytelników województwa, jako że prawidłowe funkcjonowanie partii nie powinno być obojętne nikomu. W naszym klubie nie ma drażliwych pytań i problemów, wszystkie mogą być podjęte w dyskusji, w której — tak się spodziewamy — dojdą do głosu różne racje, odczucia, przemyślenia, wątpliwości. Czekamy na listy, pytania, propozycje i wypowiedzi.

Dziś w naszym klubie gościmy łomżyńską grupę społecznych lektorów KW PZPR: Kazimierza Kiczyńskiego, Mariana Latosa, Zbigniewa Rawę, Romana Szmyta, Jerzego Szymanowskiego, Waldemara Wołkowskiego. Rolę gospodarzy pełnią: Marek Rosiński, Stanisław Zagórski.

RELACJA Z DYSKUSJI
STR. 4—5

POLSKI DYLEMAT — NADZIEJE I ZWĄTPIENIA

zdrowy rozum dla rolnictwa

Prof. dr Ryszard Manteuffel,

członek rzeczywisty PAN

Gdy w roku 1972 podawałem jako problem nr 1 rolnictwo (Polski problem nr 1. Polemiki, Państwowy Instytut Wydawniczy, r. 1972 — publikacja oparta o ankietę) byłem w tym poglądzie raczej odosobniony. Dzisiaj tego zdania jest już wielu. Przekonała ich twarda rzeczywistość i to nie tylko w naszym kraju. Opowiadają się za nim, nie wiem do jakiego stopnia szczerze, kierownicy naszej rozklekotanej nawy państwowej. Obecnie problemem gospodarczym nr 1 jest dla mnie znowu rolnictwo. I niewiele się od tych ośmiu lat w mojej ocenie zmieniło. Rewizji poddaję jedynie pogląd, że pracując w rolnictwie uspołecznionym można mieszkać poza miejscem pracy. Pogląd ten, sądzę, był niesłuszny, głównie, gdy chodzi o pracowników kierowniczych. W ostateczności gotów jestem także ustąpić nieco z tamtej kolejności, ale niewiele. Na przykład na numer 2.

CIĄG DALSZY NA STR. 3

I SEKRETARZ KW PZPR Waldemar Szpaliński i wojewoda łomżyński Jerzy Zientara spotkali się w Goniądzu z Prezydium Towrzystwa Miłośników Goniądza i władzami miejsko-gminnymi. Przedmiotem rozmów były postulaty mieszkańców skierowane pod adresem władz gminnych i wojewódzkich.

WYDZIAŁ KULTURY KC PZPR zorganizował w Łomży w dniu 20 stycznia br. naradę przedstawicieli organizacji i środowisk twórczych z województw północno-wschodnich poświęconą problemom polityki kulturalnej w tym regionie kraju.

17 STYCZNIA br. odbyło się w Łomży plenarne posiedzenie ZBOWiD-u poświęcone 36 rocznicy wyzwolenia Warszawy, ocenie pracy Związku w roku ubiegłym i omówieniu wytycznych pracy na rok 1981. W posiedzeniu uczestniczył przedstawiciel Zarządu Głównego ZBOWiD gen. bryg. Nazbor Michta. W roku ubiegłym Związek Bojowników o Wolność i Demokrację w Łomży liczył 5.221 członków: 4.406 zwyczajnych i 815 podopiecznych. Urząd do Spraw Kombatantów przyznał w ub. r. członkom związku 51 rent wyjątkowych, 346 zapomóg bezzwrotnych. Wydano 33 skierowania na leczenie sanatoryjne i dwa mieszkania spółdzielcze.

16 stycznia **NA NARADZIE** naczelników gmin wojewoda łomżyński mgr Jerzy Zientara przekazał oficjalnie Fundusz Rozwoju Rolnictwa do wyłącznej dyspozycji Walnego zebrania Kółek Rolniczych.

W 34 GMINACH woj. łomżyńskiego powstały Gminne Związki Kółek i Organizacji Rolniczych. W czterech pozostałych powołanie tych organizacji na prośbę samych rolników odłożono na okres późniejszy.

18 STYCZNIA br. odbyła się w Łomży II Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza łomżyńskiej Chorągwi ZHP. Uczestniczyli w niej m.in. zastępca naczelnika ZHP Piotr Łapa oraz przedstawiciele władz województwa z sekretarzem KW PZPR Kazimierzem Piotrowskim. W woj. łomżyńskim ZHP zrzesza — jak poinformował komendant chorągwi Zbigniew Żukowski — ok. 45 tys. zuchów, harcerzy i instruktorów. W okresie ostatnich czterech lat liczba członków organizacji wzrosła o około 8 tysięcy, a liczba instruktorów podwoiła się.

W GMINIE TRZCIANNE w stosunku do analogicznego miesiąca w roku ubiegłym nastąpił spadek w hodowli bydła rzeźnego o 10,1 proc. (549 sztuk), a w hodowli krów mlecznych — o 3,3 proc. (111 sztuk). Szczególnie wysoki spadek — o 43,8 proc. notuje się w rejonie dorzecza Biebrzy i Narwi, we wsiach: Giełczyn, Kołodziej, Brzeziny, Laskowiec, Zajki. Równocześnie w hodowli trzody chlewnej nastąpił tu wzrost o 9,9 proc., czyli 1186 sztuk.

dwa tylki ekonomiki

niebezpieczne prowizorium

Z trudm rodzi się tegoroczny plan społeczno-gospodarczy. W pierwszym kwartale obowiązuje prowizorium. Komisja sejmowa intensywnie pracuje nad rządowym projektem planu wnosząc doń niemało poprawek i uzupełnień. Obecnie praca naszego parlamentu napawa optymizmem i rokuje nadzieje, że ostateczny kształt planu będzie bilansował potrzeby i możliwości, będzie służył przyspieszeniu przeprowadzenia reformy gospodarczej.

Prowizorium planu i budżetu nie może jednak oznaczać prowizorium w stosunkach społeczno-politycznych. Trzeba postawić wyraźnie tezę, iż warunkiem przejścia od prowizorium do twardych wymogów planu jest stabilizacja na wszystkich odcinkach życia. Filozofię „jakoś tam będzie" trzeba zastąpić zasadą „tak być musi".

I dlatego — nie rozgrzeszając władz różnych szczebli z nieuzasadnionej czasem powolności i ostrożności — trzeba niedwuznacznie odpowiedzieć na pytanie: jak ma wyglądać partnerstwo rządu z reprezentantami społeczeństwa, a więc z wszelkimi organami przedstawicielskimi, wśród których odrodzony ruch związkowy zajmuje poczesne miejsce. Sądzę, że to partnerstwo musi wyrażać się w konstruktywnym dialogu, w poszukiwaniu optymalnych rozwiązań.

Nie jest natomiast — moim zdaniem — dialogiem i poszukiwaniem negowanie propozycji rządowych. Może to i spektakularne, wygodne, może i u niektórych popularne, ale do niczego nie prowadzi, a nawet stopuje lub przedłuża załatwianie pewnych spraw, które z kolei warunkują decyzje bardziej zasadnicze.

Oczywiście można stopować rządowe projekty deklarując jednocześnie, że dobro gospodarki leży każdemu na sercu. Tylko konsekwencje tego dla rynku i eksportu, a więc dla tejże gospodarki, będą opłakane. Trudno np. budować plan na kwartał, nie mówiąc już o całym roku, jeżeli do dziś nie wiadomo — jaki będzie czas pracy w poszczególnych gałęziach, które dni (nie koniecznie i nie dla wszystkich soboty) będą wolne od pracy.

Jak może budować plan energetyka czy chemia, jeżeli nie wiadomo, czy tegoroczne wydobycie węgla, to 175 czy 188 mln ton? Jak mogą ustalić swe zadania działy przetwórcze, jeżeli nie wiedzą, ile dostaną energii, paliw, produktów chemicznych? Jak może samodzielnie (a to już uchwalono) poruszać się wśród dostawców i odbiorców, w stosunkach z kooperantami przedsiębiorstwo przemysłowe, jeżeli gdzie się nie ruszy, to same niewiadome?

Pytania można mnożyć. Odpowiedzi na nie szukałbym w jednym obszarze — w stabilizacji stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych w naszym kraju. Czas odnowy musi być czasem stabilizacji.

JERZY BIELECKI

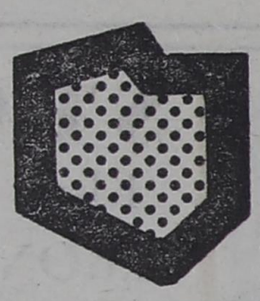

POD PRZEWODNICTWEM Stanisława Kani odbyła się w KC partii narada I sekretarzy komitetów zakładowych PZPR z największych zakładów przemysłowych w całym kraju. Występując na niej Kazimierz Barcikowski stwierdził, że odrodzenie zasad demokratycznych w funkcjonowaniu partii wymaga m. in. następujących zmian: „Kadry kierownicze w partii muszą podlegać ocenie i kontroli pochodzących z wyboru instancji. Dotyczy to również składu i działalności aparatu partyjnego. [...] Zmierzać należy do tego, aby podstawowa część aparatu politycznego instancji była angażowana na zasadzie oddelegowania z pracy zawodowej. [...] Nasza partia powinna raz na zawsze odrzucić metody pogoni za ilościowym rozwojem swoich szeregów"

ROK 1981 BĘDZIE trzecim kolejnym rokiem spadku dochodu narodowego. Przewiduje się, że wyniesie on 1866 mld zł tj. o 74 mld zł (3,7 proc.) mniej niż w roku ubiegłym.

PRZEBYWAJĄCY W POLSCE naczelny dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, Wiktor Kulikow został przyjęty przez Stanisława Kanię i Józefa Pińkowskiego.

Z PRZEMÓWIENIA PREMIERA Józefa Pińkowskiego na II Kongresie Spółdzielczości Rolniczej „Samopomoc Chłopska": „Zapoczątkowana reforma gospodarcza, wprowadzone zmiany w systemie zarządzania gospodarką tworzyć będą pełne możliwości rozwoju wszystkich form samorządu. [...] Kółka rolnicze są najbardziej sprawdzoną ogranizacją, odpowiadają warunkom gospodarki indywidualnej w Polsce. Będziemy tworzyć warunki dla ich umacniania oraz wzrostu ich roli i pozycji w życiu wsi".

„WYPOWIADAMY SIĘ PRZECIWKO tworzeniu opozycji na wsi — stwierdził na spotkaniu z krakowskimi rolnikami Kazimierz Barcikowski — opozycji w postaci istnienia wśród rolników organizacji o politycznym zabarwieniu. Starsi rolnicy pamiętają walkę polityczną na wsi, która do niczego dobrego nie doprowadziła".

MIMO IŻ 15 STYCZNIA upłynął termin prekluzyjny opracowania projektu ustawy o kontroli publikacji i widowisk nadal występują poważne różnice między wersją projektu Ministerstwa Sprawiedliwości i wariantu społecznego. Dotyczą one m. in. sprawy podporządkowania GUKPiW informowania opinii publicznej o dokonanych ingerencjach cenzury.

PODCZAS AUDIENCJI u papieża Jana Pawła II przewodniczący delegacji NSZZ „Solidarność" Lech Wałęsa powiedział m. in.: „Nie jesteśmy i nie będziemy nigdy grupami politycznymi. Nas sprawy polityczne nie interesują. Interesuje nas prawo człowieka, prawo do człowieczeństwa, prawo do wiary, swobodnego głoszenia jej i wyznawania. [...] Dlatego też w naszym związku nie będziemy odprawiać mszy, nie będziemy budować kaplic, jednak będziemy się kierować sprawiedliwością, uczciwością, rozwagą".

PONAD PIĘĆ GODZIN trwało spotkanie około 3 tysięcy delegatów organizacji zakładowych NSZZ „Solidarność" — region „Mazowsze" w Teatrze Wielkim w Warszawie poświęcone realizacji porozumień ze Szczecina, Gdańska, Jastrzębia i Katowic, a w szczególności wypracowaniu stanowiska w sprawie wolnych sobót. Uczestniczyła w nim także delegacja „Solidarności" z Łomży.

SĄD WOJEWÓDZKI w Warszawie zarejestrował Związek Zawodowy Kadry Kierowniczej Jednostek Gospodarki Uspołecznionej. Odpowiadając na zarzut, że utworzono w ten sposób „ligę obrony stołków" współorganizator tego związku dyr. Roman Dolczewski wyjaśnił („Życie Warszawy"): „Jak dyrektor może skutecznie działać, jeśli pozostaje osamotniony, bo partia utraciła wiele ze swojego autorytetu, administracja gospodarcza wyższych szczebli jest zdezorientowana, zagrożona i niechętna do nastawiania głowy za swoich podwładnych, a równocześnie pracownicy mają poczucie siły i przygniatającej często przewagi nad własnym kierownikiem? W rezultacie tracą inicjatywę, odwagę, autorytet. Dla gospodarki to bardzo niebezpieczny proces".

MIECZYSŁAW RAKOWSKI w artykule „Szanować partnera" („Polityka") pisze: „Dziś widać już wyraźnie, że w ogniwach władzy są ludzie, którzy z wielkim trudem godzą się z myślą, iż era niekontrolowanego jednowładztwa minęła bezpowrotnie. Marzą o silnej władzy nie chcąc uznać faktu, że jest ona możliwa tylko wtedy, gdy polityka państwa i partii cieszyć się będzie poparciem, jeśli nie całego społeczeństwa, to jednak jego większości. Każda inna „silna władza" będzie iluzją albo zamordyzmem, na który społeczeństwo nie wyrazi zgody. [...] Na każdym niemal spotkaniu, czy to w fabryce czy też z aktywem partyjnym, muszę wysłuchiwać narzekań na nieporadność władz różnego szczebla, od najwyższych do najniższych. Działają zbyt wolno, przedstawiają projekty niedojrzałe, nie redukują przerostów biurokratycznych, słowem w nadzwyczajnej sytuacji działają zwyczajnie. Tak, jakby w Polsce nic się nie stało".

„ŻĄDANIE WOLNYCH SOBÓT — pisze w »Życiu Warszawy« Stefan Bratkowski — było odpowiedzią ludzkiego zmęczenia na uciążliwość życia codziennego, na ciężkie warunki pracy, na stosunki w zakładach, na rolę przedmiotu w systemie gospodarczym, od których człowiek po prostu chce uciec do »siebie« na dwa dni tygodnia i odpocząć. Nie oznaczało, że Polacy nie chcą t a k pracować, w t a k i c h warunkach i t a k i c h stosunkach jakie dotychczas panowały. [...] Konflikt narodu można zażegnać. Spokojnie, po ludzku. Bo dla Polski Polacy byliby w stanie i przez dwa lata pracować nawet po 60 godzin tygodniowo, gdyby wiedzieli, że to, co robią ma sens i da efekt."

BOLESŁAW MISZUŁOWICZ polemizując z dyrektorem naczelnym Animexu Ryszardem Kozyrą („Życie i Nowoczesność") w artykule „Enigmy kryzysu mięsnego ciąg dalszy" pisze: „Gdy głód mięsny doprowadził do kryzysu społeczno-politycznego, to w tym czasie Animex wyeksportował mięsa za kwotę 1113 mln złotych dewizowych [...] Kryzys mięsny bezpośrednio doprowadził w ciągu 10 lat trzykrotnie do gwałtownych napięć społecznych. Może doprowadzić do następnych. A poza tym przyzwoitość narodowa nakazuje nie sprzedawać mięsa państwom kapitalistycznym w tym samym czasie, gdy zwracamy się do nich po pomoc". I dalej: „Z rachunku uwzględniającego korektę wprowadzoną przez GUS wynika, że spożycie plus eksport mięsa w PRL w 1979 roku stanowiło łącznie ok. 62 kg, a produkcja 93 kg. Oznacza to, że bilans przychodów i rozchodów mięsa nie zgadza się o 31 kg, co w skali krajowej odpowiada wielkości 1 mln ton. Stąd wniosek, że fałszywe dane liczbowe mogą pochodzić ze sprawozdań nadsyłanych do GUS od producentów lub eksportera mięsa".

zdarzenia

DZIEŃ BABCI

Pełna dobroci, spokoju, tolerancji Babcia sprawia, że nasz dom, nasza rodzina są pełniejsze i cieplejsze. To właśnie Ona coraz częściej — bardziej niż zabiegana mama — staje się jedyną prawdziwą patronką domowego ogniska. Szkoda, że ostatnio coraz rzadziej mieszka razem z nami. Ale nawet wtedy, gdy jest daleko, zawsze wiadomo, że to właśnie do Niej można się zwrócić, by poratowała nas w trudnej życiowej sytuacji. Przyjmie nas serdecznie, opiekuńczo i jak zwykle nie odmówi pomocy.

Wszystkim wspaniałym Babciom samej pogodnej, słonecznej jesieni życia oraz takiego wyrozumienia ze strony wnucząt — jak babcine życzą „Kontakty".

Przypominamy: nasz konkurs na „Pamiętnik nastolatka" trwa! Na prace uczestników czekamy do końca lutego br. W najbliższym numerze znajdziecie emocjonujący pamiętnik Grzegorza Kaczmarka (lat 19) ze Złotowa.

zdrowy rozum dla rolnictwa

Prof. dr Ryszard Manteuffel, członek rzeczywisty PAN

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Bowiem jako Polak, podobnie jak zapewne inni moi Rodacy, za problem największy, najważniejszy, za problem o znaczeniu historycznym, sięgającym daleko poza rok przeszły i obecny, uznaję początek Odnowy naszego kraju oraz odnowy moralnej i etycznej naszego społeczeństwa, zapoczątkowany w sierpniu 1980 r. Nie mnie jednak o tym pisać, uczynili to i jeszcze uczynią lepsi ode mnie. Jest jednak sprawą wspaniałą i imponującą, a chyba i niespotykaną w historii to, jak w sierpniu zeszłego roku zarówno robotnicy jak i przedstawiciele władz potrafili zachować spokój, umiar i rozwagę, które doprowadziły do podpisania umowy społecznej. To, co dotychczas brzmiało jak puste słowa, a mianowicie, że ludzie rozsądni i uczciwi zawsze potrafią dojść do porozumienia bez rozlewu krwi lub ostatecznej katastrofy, nagle urzeczywistniło się. Zajmę się więc, jak łatwo zgadnąć, rolnictwem. Od niego bowiem wszystko się zaczyna. „Primum vivere deinde philosophare" (najpierw trzeba żyć a potem filozofować). By żyć, trzeba jeść tak już jesteśmy stworzeni. A rolnictwo nasze dostarcza nam przede wszystkim — żywności.

1.

Dopiero teraz w okresie Odnowy, szeroki ogół może być informowany o rzeczywistym stanie naszego rolnictwa, o stanie, do którego doprowadził nasz kraj brak rozwagi i gospodarności u naszych władz, oraz sztywna niesprawdzająca się doktryna.

Około 80 proc. naszych własnych zasobów żywnościowych dostarcza nam gospodarka indywidualna, pomimo iż w stosunku do hektara użytków rolnych otrzymywała jedynie połowę nawozów sztucznych i około jednej trzeciej pasz treściwych, co sektory uspołecznione. Wysokość produkcji końcowej netto na hektar była pomimo to wyższa w sektorze indywidualnym niż w sektorach uspołecznionych.

Gospodarstwa państwowe od wielu lat przynosiły straty (nie biorąc pod uwagę dotacji) rosnące z roku na rok. W r. 1979/80 gospodarstwa państwowe (tylko Ministerstwo Rolnictwa) poniosły straty w wysokości 33 mld zł, przy czym dotacje z budżetu państwa wyniosły w tym ponad 31 mld zł. Zespołowe gospodarstwa kółek rolniczych (SKR-ów) miały w r. 1979 ujemną produkcję czystą z hektara użytków rolnych w wysokości 10 tys. zł. Oznacza to, że każdy hektar zagospodarowany przez SKR-y niszczył średnio w tej wysokości dochód narodowy. Niezależnie od tego budżet państwa łożył dodatkowo na wynagrodzenie za pracę tych, co niszczyli dochód narodowy. W rolnictwie powinien zapanować zdrowy rozum, a w sektorach uspołecznionych należy powrócić do przestrzegania zasad dobrej gospodarki.

Stan naszego rolnictwa jest ostatnio raczej smutny. W minionej pięciolatce były dwa lata bardzo złe, dwa poniżej średniej, a tylko jeden rok dobry. Taka sytuacja zdarza się w naszym kraju rzadko. Normalnie tylko jeden rok na pięć jest zły, pozostałe utrzymują się w normie lub są lepsze od średniej. Należy się jednak przygotować na to, że rok 1981 nie będzie w rolnictwie lepszy od ostatniego. Nawozów sztucznych ma być o 10 proc. mniej niż w roku ostatnim. Poza tym niezwykle mokry rok 1980 spowodował wypłukanie składników nawozowych gleby do warstw głębszych. Trzeba będzie te zapasy odnawiać.

2.

Z podanych liczb wynika, że żywi nas nieuspołeczniony sektor rolnictwa. Mimo to wciąż jeszcze spotykamy się z fałszywą oceną przyczyn niezadawalającego stanu naszego rolnictwa. Wbrew rzeczywistości niektórzy przypisują to przewadze w naszym kraju sektora indywidualnego. Dokonuje się przy tym porównywania rzeczy nieporównywalnych — naszego rolnictwa z rolnictwem naszych sąsiadów: zachodnich i południowych. Wysuwa się argument, że w krajach tych gdzie rolnictwo jest w pełni uspołecznione nie ma kolejek po żywność, a zaopatrzenie w żywność jest normalne. Zapomina się o innej przeszłości historycznej naszego kraju, o innych warunkach, w jakich odbywała się kolektywizacja rolnictwa, o innym charakterze narodowym ludzi, wreszcie o odmiennej organizacji zaopatrzenia w żywność i o zupełnie innym poziomie kosztów żywności.

W Czechosłowacji i w NRD poziom przemysłu już zaraz po wojnie był wysoki i wszyscy wychodzący z rolnictwa, chętnie czy niechętnie, znajdowali łatwo wysoko płatną pracę w przemyśle. Przemysł potrzebował tych ludzi i potrzebuje nadal. Liczba zatrudnionych w rolnictwie jest tam bardzo niska. Wymienione kraje nie znajdowały się pod zaborami. W krajach tych ludność rolnicza nie musiała bronić przed zagładą języka i kultury narodowej. Nie pociągało to za sobą tak silnego jak w Polsce przywiązania do ziemi, związek z którą chronił nasz naród w różnych zaborach przed wynaradawianiem. Pamiętajmy, że na Śląsku, Warmii i Mazurach język polski zachowały jedynie rodziny rolnicze. Poza tym w Czechosłowacji i w NRD nie istniało zadawnione przywiązanie do demokracji jak u nas, początkowo drobnoszlacheckiej, która później przeniosła się na warstwę chłopską. Wreszcie duch posłuszeństwa w stosunku do władzy i do jej decyzji jest w tych krajach inny jak u nas, chociażby nawet decyzje władz nie były tam aprobowane przez ludność. My mamy zadawnione tradycje „złotej wolności".

Należy też postawić pytanie, jak wygląda sprawa wysokości cen artykułów żywnościowych pochodzenia rolniczego w tych krajach. Otóż ceny te są wysokie, a przy tym jednolite, nie tak jak u nas. Brak tam bowiem systemu dopłat państwowych do żywności, jak to ma miejsce u nas. W Polsce państwo dopłaca do cen artykułów żywnościowych blisko 200 mld rocznie, co zresztą powoduje ogromne marnotrawstwo żywności, której brak. Taniej żywności się bowiem nie ceni i dlatego tak wiele znajdujemy jej na śmietnikach. Niezależnie od wszystkiego jednak koszty produkcji artykułów rolniczych w Czechosłowacji i w NRD są bardzo wysokie.

A teraz Węgry. Jest tam zupełnie inna struktura wsi niż u nas i inna mentalność ludności rolniczej. Proces kolektywizacji (głównie produkcji rolniczej) przebiegł tam stosunkowo łagodnie. Poza tym stosowana jest tam mądra polityka gospodarcza, popierająca produkcję zwierzęcą na działkach przyzagrodowych, w gospodarstwach rodzinnych, u ludzi nie posiadających nawet ziemi.

3.

Panują u nas dziwne mity o domniemanych wysokich dochodach rolników. Wysuwane są m.in. pretensje, że są rolnicy, którzy kupują samochody osobowe. Czyżby tylko ludność miejska miała mieć do tego prawo?

Otóż wbrew temu, co się tu i ówdzie słyszy z ust osób należących do zawodów pozarolniczych, średni poziom dochodów rolników waha się na wysokości około 80 proc. średnich zarobków ludności pozarolniczej. Należy dodać, że część z tych swoich dochodów rolnicy muszą przeznaczać na rozwój gospodarstwa i na utrzymywanie go na istniejącym poziomie. Zatem dochód przeznaczony na konsumpcję osobistą spada poniżej 80 proc. zarobków ludności pozarolniczej.

Tym, którzy zazdroszczą rolnikom indywidualnym domniemanych wysokich dochodów, stawiam pytanie: jeśli rolnicy tak dużo zarabiają, to dlaczego ci, którzy im tego zazdroszczą, nie przejdą do rolnictwa? Gospodarstwa w różnych regionach kraju są do objęcia, tylko je brać, no i jak oni to twierdzą, robić pieniądze. Uprzejmie zapraszamy!

Praca rolnika indywidualnego jest piękna i interesująca. Na wielu sprawach trzeba się znać i wiele rzeczy trzeba umieć wykonać. Rolnik sam podejmuje decyzje i sam je wprowadza w życie. Ma względną niezależność od wyższych szczebli zarządzania, zależy tylko od warunków przyrodniczych i ekonomicznych, jednak dobry rolnik potrafi w zasadzie dawać sobie z nimi radę. Ziemia, jeśli jest w wysokiej kulturze, znosi przeciwności na ogół dosyć dobrze.

4.

A teraz trochę postulatów i zgodnie z tytułem wypowiedzi trochę nadziei, że się one spełnią.

Rolnictwo powinno być traktowane jako całość, nie jako zlepek trzech sektorów o różnych prawach. Sektory te powinny zgodnie współistnieć, starając się wykorzystać dobre strony każdego z nich. O tym, który gdzie będzie się rozwijał, powinna decydować efektywność każdego z nich w określonych warunkach.

Powszechne zrozumienie i uznanie powinny zyskać następujące podstawowe prawdy:

Intensywne, wysokowydajne rolnictwo musi zużyć środki produkcji wytwarzane przez przemysł, a więc nawozy sztuczne, różne materiały, środki chemiczne ochrony roślin, pasze pochodzenia przemysłowego oraz różne środki trwałe. Rolnictwo powinno te środki nabywać, a nie mieć sobie przydzielane. Musi mieć możność nabycia takich środków, jakie mu są niezbędne i wtedy, gdy ich potrzebuje. Problemy te leżą więc w przemyśle, a nie w rolnictwie. Dotychczas przemysł jaskrawo nie nadąża za potrzebami rolnictwa.

Każde gospodarstwo powinno mieć możność i prawo produkowania tego, co wytwarza najlepiej, najwięcej i najtaniej z jednostki obszaru. Nie ma obawy, by rolnictwo wytwarzało „buble"; wszystko co wyprodukuje w nadmiarze może zawsze sprzedać, a to czego krajowi będzie brakowało można kupić, gdy się ma na to środki.

Ocena efektywności gospodarki rolnej powinna być dokonywana w oparciu o dwa wskaźniki: produkcję końcową netto z hektara i produkcję czystą z hektara.

Ceny nabycia artykułów rolniczych oraz ceny ich sprzedaży powinny być bliskie społecznym kosztom ich wytworzenia. Należy skończyć z systemem dwóch różnych cen — dla producenta i dla konsumenta oraz dopłat z budżetu państwa do konsumpcji, co — jak już wyjaśniłem — pociąga za sobą ogromne marnotrawstwo żywności oraz całkowitą dezorganizację rynku.

Rolnicy indywidualni powinni mieć autentyczne przedstawicielstwo swego zawodu, tak jak zawody pozarolnicze. Oni najlepiej wiedzą, co im jest potrzebne, by wyżywić kraj, do czego w pełni się poczuwają. Oni też najlepiej wiedzą, co im potrzeba zarówno od strony warunków bytowych jak kulturalnych i socjalnych.

5.

Przechodzę z kolei do potencjalnego zagrożenia.

O produkcji, również i w rolnictwie, decydują w ostatecznym rachunku ludzie. Rzeczą zatem podstawową i najważniejszą jest to, by w rolnictwie pracowali ludzie z inicjatywą, sprawni i wydajni. W znacznym stopniu decyduje o tym infrastruktura gospodarcza, bytowa i socjalno-kulturalna wsi. W ostatecznym jednak rachunku o tym, kto będzie pracował w rolnictwie, zadecydują w znacznym stopniu — kobiety. Tak, kobiety. Zadecyduje to, które i ile młodych kobiet będzie chciało mieszkać na wsi i pracować w rolnictwie. Dzisiaj z rolnictwa odchodzi corocznie dwukrotnie więcej młodych kobiet niż młodych mężczyzn. W końcu mężczyźni podążają za nimi.

Jest to, moim zdaniem, zagrożenie najpoważniejsze. Średnio w kraju 15 proc. młodych rolników, prowadzących już swe gospodarstwa, pozostaje w stanie bezżennym. W niektórych jednak regionach procent ten dochodzi do 30. No, a co dalej?

Tyle tylko o rolnictwie, a teraz sprawa bardziej ogólna.

Istnieje konieczność, by nasze społeczeństwo zdało sobie sprawę, że w sytuacji, gdy brak wielu rzeczy, w każdej niemal dziedzinie, nie można jednym aktem woli przejść do obfitości wszelkich dóbr. Jest to proces powolny i trzeba urzeczywistniać go konsekwentnie. Trzeba konkretnie, gospodarnie i wytrwale uzyskiwać poprawę przez pozornie drobne, ale konsekwetnie stawiane kroki.

Rymund Manteuffel

punkt widzenia

STARCIA — Klub Dyskusyjny „Kontaktów"

Myśleć bez komendy

Redakcja: — Czy mamy odnowę w partii, czy widać ją w województwie?

M. Latos: — Jak się tak dobrze rozejrzeć — to nie bardzo tę odnowę widać. Na zebraniach wałkujemy treści VII Plenum. Można powtarzać w kółko to samo, tyle że z coraz większym znudzeniem. Zwołuje się kolejne zebrania, odrywa ludzi od roboty, po to, żeby powiedzieć: „bierzcie się do roboty". Niepokoi mnie najbardziej brak nowych inicjatyw, odmiennego podejścia do wielu problemów. Jednym z elementów odnowy miało być odejście od dyrektywnego stylu kierowania. Tymczasem nadal dyrektywa goni dyrektywę. Na niedawnym spotkaniu w komitecie wojewódzkim, zamiast możliwości dyskusji inspiracji dostaliśmy znowu ścisły terminarz zebrań organizacji partyjnych, z wyznaczonymi tematami. Czy podstawowe organizacje partyjne nie stać na to, by same wyznaczyły sobie terminy zebrań, dobrały tematy?

kto zrobi tę odnowę?

R. Szmyt: — Dla mnie pojęcie „odnowa" jest bzdurne. To, co się u nas dzieje, jest po prostu dalszym ciągiem rewolucji socjalistycznej. Partia, pod rygorem swego istnienia, nie może zapominać, że jest partią klasy robotniczej, jej awangardą. Dramatem nas wszystkich — członków partii, dramatem partii — i w 1956, i w 1970, 1976, i wreszcie w sierpniu 1980 — stał się fakt, iż sami robotnicy w obronie swych interesów, w obronie socjalizmu musieli wystąpić przeciwko kierownictwu partii. A już nie do wybaczenia jest ta cykliczność zakrętów, ta niepoprawność, nieumiejętność wyciągania wniosków z tragicznych doświadczeń. Głosiliśmy, że zapewniamy ludziom lepsze życie, a ludziom żyło się coraz gorzej.

Redakcja: — Mówicie, że oglądacie się za siebie i jakoś tej odnowy nie widać w województwie. Kto ma ją robić?

Z. Rawa: — Inspiracja musi wyjść z instancji wojewódzkiej.

M. Latos: — Dlaczego właśnie tylko stamtąd? Czy my nie potrafimy myśleć? Przyzwyczailiśmy się, że Łomża zawsze wyczekuje. I zawsze na tym przegrywa.

W. Wołkowski: — W wielu miejscowościach trudno czasem zebrać wszystkich członków partii. Jeszcze nie doszli do siebie po szoku.

Redakcja: — Jedni nie mogą przyjść do siebie, drugim po prostu wygodnie z biernością. Przyzwyczaili się do niej.

K. Kiczyński: — Sam sobie zadaję pytanie: jak ta odnowa w partii powinna wyglądać, jak do niej doprowadzić? Przeszło 30 lat jestem w partii; nie było akcji, w której bym nie uczestniczył: elektryfikacja, komasacja gruntów, wybory, agitacje, spółdzielnie produkcyjne, torowanie drogi mechanizacji na wsi... trudno spamiętać. Zawsze byłem gotów. Na każde polecenie, na każde skinienie. Bo wpojono nam: być w partii — to znaczy być zdyscyplinowanym. I w tym zapatrzeniu, posłuszeństwie nie zauważyliśmy jak stopniowo biurokratyzował się aparat partyjny, przejmując kontrolę nad tymi, którzy powinni kontrolować. Dlatego oddzielnie trzeba mówić o odnowie etatowych pracowników instancji, oddzielnie o odnowie członków. W tej chwili najważniejsze, żeby do programu odnowy przekonał się właśnie aparat partyjny. Bo on swoją zachowawczością, wyczekiwaniem najbardziej ją hamuje.

Redakcja: — Mówimy tak bezosobowo. A przecież w tymże aparacie mamy kolegów, przyjaciół...

R. Szmyt: — Może dlatego bezosobowo...

Redakcja: — Właśnie anonimowość zrodziła zawołanie: winni wszyscy inni. Wracając jednak do przerwanej myśli: wielu z nich znalazło się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Im bardziej są za odnową, tym bardziej przyszłościowo biorąc, niepewna staje się ich sytuacja życiowa. Niejednemu przyjdzie wrócić do zawodu, w którym sprawność dawno już utracił.

Z. Rawa: — Z taką myślą trudno im się pogodzić. Toteż kiedy słyszę, że w komitetach powinni pracować wybitni specjaliści, i to najwyżej przez cztery lata, to zaraz trapi mnie obawa, czy wracając do swego zawodu będą jeszcze wybitni?

słabość płynie z wielkości

J. Szymanowski: — Jakby nie patrzeć, kluczem do odnowy jest sytuacja w partii. Teraz partia rozproszyła się w masie, ginie w ilości, jest wielka, lecz z tej wielkości wynika jej słabość. Opowiadam się za partią kadrową, walczącą i krytyczną wobec siebie.

R. Szmyt: — W tej chwili dokonuje się najprawdziwsza i najostrzejsza selekcja. Ludzie przypadkowo zwerbowani pod presją wskaźników — odpadają. Wartościowi mają szansę zabłysnąć.

M. Latos: — To jest uproszczone rozumowanie. Na zakrętach siła odśrodkowa może wyrzucić i ludzi wartościowych, zmęczonych zbyt dużą ilością wiraży w ich życiu. Czy wyczyści partię z karierowiczów?

Z. Rawa: — Im więcej będzie w partii działań autentycznie społecznych, niczym poza satysfakcją ze spełnionego obowiązku nagradzanych, tym mniejsza będzie pożywka dla karierowiczów.

R. Szmyt: — Brzmi to trochę jak pobożne życzenie. W samej partii muszą powstać mechanizmy uniemożliwiające awans takim ludziom. Myślę tu o systemie rotacji kadr, autentycznym wyborze i kontroli, możliwości bezkolizyjnego odchodzenia, udzieleniu absolutorium gronom przedstawicielskim, zredukowaniu do niezbędnego minimum ilości sekretarzy, kierowników, instruktorów, inspektorów w instancjach partyjnych, ba, całych wydziałów, który dublują działalność urzędów państwowych.

M. Latos: — Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby instancja stała się jednym wielkim działem propagandy, swą działalnością stale potwierdzając, że jej siła to siła argumentacji, umiejętność trafiania do ludzi, a nie majestat urzędu i rodząca strach administracyjna presja.

nikt nie zmienia się z dnia na dzień

W. Wołkowski: — Według mnie odnowa, to znaczy iść do człowieka, spierać się, wybiegać na spotkanie potrzeb ludzkich. Jednak trudno robić coś po nowemu, jak myślimy po staremu. Tylko człowiek zakłamany przemienia się z dnia na dzień. My się nie zmienimy ani za pół roku, ani za rok. Obecnie najważniejszą sprawą jest jasne i otwarte stawianie problemów. Likwidowanie znaków zapytania. Dotyczy to także spraw poruszanych przez „Kontakty". Ot, choćby nadużyć przy budowie domu byłego prezesa Urbanowskiego. Czytelnik powinien się dowiedzieć jak to zostało zakończone, jak rozliczono winnych. I tak ze wszystkim. Krytyka, a parę numerów później, że się zmieniło.

Redakcja: — Byłoby pięknie gdyby w życiu wszystko tak sprawnie się kończyło gdyby krytyka miała moc różdżki czarodziejskiej.

J. Szymanowski: — Myślę, że odnowa powinna doprowadzić do przekonania, że winnym, niezależnie od miejsca na świeczniku, nic nie uchodzi bezkarnie.

W. Wołkowski: — Hamulcem odnowy jest brak konkretnego programu rozliczeniowego. Nie stwierdzono do końca, co w partii było złe. Powiedziano tylko, że określona grupa ludzi niewłaściwie działała.

Z. Rawa: — Brakuje nam jeszcze właściwej kultury rozliczania się z ludźmi. W innych państwach, gdy odchodzi premier czy ktoś inny, to nikt nie robi z tego szumu. Niech i u nas tak będzie.

W. Wołkowski: — U nas nikt sam nie chce odejść, chyba że już musi. Mówi się o błędnej polityce, błędnych decyzjach, niewłaściwym działaniu instancji wojewódzkich, Biura Politycznego, Plenum KC, ale na czym to polegało, to nie słychać.

Z. Rawa: — Decyzje były słuszne, ale gorzej z ich realizacją.

W. Wołkowski: — Cóż na przykład ze słusznego programu budownictwa, jeśli nie miał on pokrycia w przydziałach materiałów?

Z. Rawa: — To samo z decyzją o objęciu bezpłatną opieką medyczną całego społeczeństwa, gdy równocześnie zmniejszał się relatywnie budżet na ochronę zdrowia.

nie było odzewu

W. Wołkowski: — Sygnalizowaliśmy te zjawiska. Przywoziliśmy z terenu wnioski i postulaty organizacji partyjnych, przekazywaliśmy je komitetowi wojewódzkiemu. Ale chyba nikt tego jednak nie czytał, bo nie było żadnego odzewu. A przecież ktoś tam za to bierze pieniądze, by sprawy ruszyły z miejsca.

Redakcja: — Czy to jednak partia powinna być nadzorcą gospodarki i administracji?

W. Wołkowski: — Nie jest w porządku, gdy instancja lekceważy takie sygnały. Od czasu utworzenia województwa nie zdarzyło się, żeby na skutek naszych postulatów coś gdzieś zostało zrobione.

Z. Rawa: — Ja miałem jeden taki przypadek

W. Wołkowski: — Niektórzy mówią o odnowie samymi sloganami. A tu potrzebne są konkretne posunięcia, choćby małe kroczki. Weźmy więc na warsztat poszczególne problemy. W Łomży na przykład najważniejsze jest uporządkowanie samego miasta, żeby po ulicach i chodnikach było można normalnie chodzić.

Redakcja: — Czy załatwi nam to problem odnowy w partii?

W. Wołkowski: — Na pewno nie, ale od czegoś trzeba zacząć. Jeżeli nam wyjdzie, będzie to także skuteczny krok w pracy partyjnej, gdyż ułatwi życie mieszkańcom.

R. Szmyt: — Czy takie rozumowanie nie wtłacza nas znowu w starą kolejnę?

K. Kiczyński: — Dobry chodnik — skuteczna odnowa. To zbyt uproszczone skojarzenie. Odnowa w partii powinna polegać na czymś innym. Przede wszystkim na jej odbiurokratyzowaniu. Dość tych ga-

Roman Szmyt

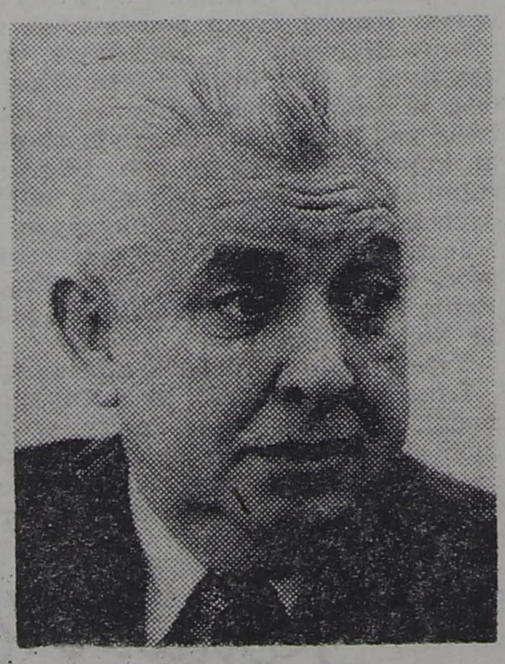

Zbigniew Rawa

Marian Latos

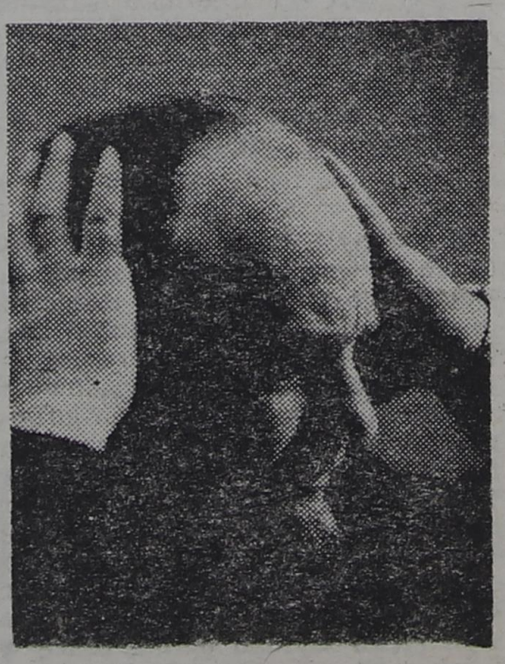

Jerzy Szymanowski

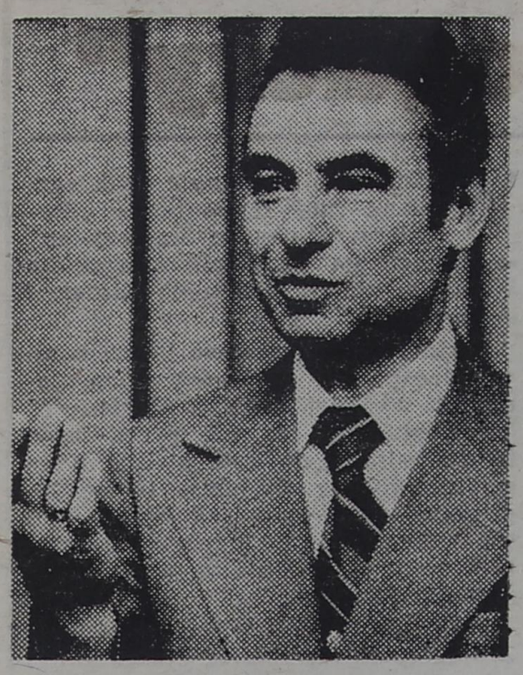

Kazimierz Kiczyński

Waldemar Wołkowski

lówek, prezydiów, ceremoniału. Kiedyś jechało się na wieś i szukało kontaktu z ludźmi, przekonywało się ich bez zebrań — przy pracy, w zagrodzie lub w polu. A teraz ocenia się POP po protokołach — czy napisano je ładnie i bez błędów. Partia nie będzie skuteczna, jeżeli nie zarzuci administracyjnych metod działania.

W. Wołkowski: — Takie działanie, choć niczemu nie służy, daje pozór sprawności. Natomiast na efekty pracy ideowo-wychowawczej trzeba czekać długo, trudno je zauważyć, podsumować.

M. Latos: — Administrowanie wydawało się skuteczne także w gospodarce...

W. Wołkowski: — Brało się za słuchawkę i mówiło „tak ma być" i załatwione. Tak jakby tam nie było dyrektorów — członków partii, jakby im się nie chciało lub nie potrafili myśleć. Być może wynikało to z obawy, że jeśli ja nie pogadam, nie nakażę, to nie będzie wiadomo na czym polega moja praca, nie podkreśli prestiżu komitetu?

M. Latos: — Jeśli komitet podejmuje za dyrektora czy prezesa jakąś decyzję bądź drobiazgowo każe ją ze sobą uzgadniać, to siłą rzeczy jest już za nią odpowiedzialny. Traci dystans do niej, identyfikuje się z wykonawcą, a potem go broni.

J. Szymanowski: — To także najlepszy sposób na rozmydlenie odpowiedzialności. Bo gdy się coś nie uda, nie wyjdzie, można wywinąć się; to nie ja, to nie my, to oni nam kazali. No i mamy rezultat — na kryzys polityczno-społeczny nałożył się kryzys gospodarczy, co doprowadziło do tak ostrego wybuchu.

Redakcja: — A może odwrotnie: kryzys gospodarczy jest skutkiem błędów politycznych.

nie tylko perły na brzegu

W. Wołkowski: — Co tu gadać o odnowie, kiedy w większości biorą się za nią ci sami ludzie. Wciąż przy awansowaniu ludzi decyduje klucz, a nie rzeczywista wartość człowieka.

J. Szymanowski: Wybory do instancji partyjnych: iluś tam dyrektorów, iluś robotników, rolników, przedstawicieli służby zdrowia, określona ilość kobiet i młodzieży. I rezultat: przez cztery lata niektórzy z nich nawet nie zabrali głosu. A co dopiero mówić o zgłaszaniu pomysłów, inicjatyw, rozniecaniu ruchu umysłowego w partii. We władzach partyjnych muszą być ludzie, którzy coś sobą reprezentują, mają własny punkt widzenia, szersze horyzonty.

W. Wołkowski: — Musimy powiedzieć sobie jasno: jeśli ma być odnowa, a tworzą ją ludzie, to dobór tych ludzi musi być bardzo staranny.

Z. Rawa: — Partia czy rząd to nie towarzystwo wędkarskie, gdzie sprawy doboru ludzi można puścić na żywioł. Łowionym rybkom jest wszystko jedno kto je złowi. Ale tam, gdzie chodzi o konkretną robotę polityczną, musi być ścisłe współdziałanie i nieskrępowana wymiana myśli, wielka odpowiedzialność, tym bardziej, gdy sprawuje się władzę. W tych kontaktach liczyła się dotąd jedna strona, druga — musiała przyjmować te wierzenia prawie na talerzu.

W. Wołkowski: — Słyszeliśmy sporo o rezerwie kadrowej w naszym województwie. Ale było to mydlenie oczu. Dopiero teraz, dzięki oddolnemu ruchowi, ujawniają się autentyczni przywódcy, których nikt nie przywiózł w teczkach, sami wyrośli, nowa sytuacja zachęciła ich do działania.

Z. Rawa: — Tylko po części się z tym zgodzę, że fala odnowy ujawniła autentycznych przywódców. Wyniosła ona także tych, którzy nie zdali egzaminu w innym czasie, tu czy gdzie indziej. Teraz chcą skorzystać z okazji, by wypłynąć.

Redakcja: Fala, jak żywioł, nie tylko perły zostawia na brzegu...

J. Szymanowski: Gałczyński tę sprawę ładniej ujął: Gdy wieje wiatr historii, ludziom jak pięknym ptakom rosną skrzydła u ramion, i trzesą się portki pętakom...

źródła opiniotwórcze

Redakcja: — Czy ten wiatr nie wieje tylko w skrzydła „Solidarności"?

W. Wołkowski: — Członkowie partii wychodzą z odnową. Jest ona jednak ograniczona do drobnych, acz życiowych spraw. Sami pisaliście jak ludzie w Radziłłowie przejęli w swoje ręce rozdział węgla nie czekając na decyzje; wytyka się błędy geesom, urzędom gminnym, pilnuje, by było bardziej sprawiedliwie. Natomiast w całej organizacji wojewódzkiej dyskutujemy, i to dość ostro o sprawach partii, jej statucie. Czekamy jednak na dokładniejsze projekty, wytyczne.

Redakcja: — I to czekanie jest właśnie naszym największym nieszczęściem.

W. Wołkowski: — Przez te wszystkie lata przyzwyczailiśmy się do dyscypliny partyjnej. I teraz trudno się tak szybko z tego uwolnić. Stąd czekanie.

Redakcja: — Czy także na oficjalny sygnał rozpoczęcia dyskusji przedzjazdowej? Jeśli chcemy, by program partii był żywy, musi formułować go tętniąca mocniejszym życiem partia. Myślenie nie potrzebuje dyrektywy. Co stoi na przeszkodzie, aby spotkali się na przykład członkowie dwóch czy trzech podstawowych organizacji partyjnych, działających w podobnych środowiskach i wypracowali wspólne stanowisko w ważnych sprawach?

M. Latos: — Wymagałoby to zasadniczej zmiany stosunku do POP. Były one dotąd raczej przedmiotem oddziaływania instancji a teraźniejszość dyktuje, by stały się, w nowym usytuowaniu; źródłem opiniotwórczym.

J. Szymanowski: — Próbowaliśmy tak, na początku lat siedemdziesiątych. Uczestniczyłem wtedy w ogólnych zebraniach wszystkich nauczycieli Łomży — członków partii. Dostarczały one okazji do wymiany myśli, poglądów, formułowania zbiorowych ocen i w konsekwencji programowania pracy partyjnej wśród nauczycieli. Teraz te właśnie formy kontaktów odnajdujemy w działaniach „Solidarności".

R. Szmyt: — Do niedawna myślenie reglamentowane było w partii według hierarchicznej drabiny. Im kto wyżej wszedł, tym wydawał się mądrzejszy. I wszyscy nabożnie spoglądali ku niemu w górę. Nie negując zasad centralizmu demokratycznego, musimy pilnować, by partia umiała być demokratyczna, by myślenie było w niej powszechne. Dlatego tak cenne jest wszystko, co ożywia ruch intelektualny i ideowy partii, co pozwala na wykorzystanie jej zbiorowej mądrości, jak choćby, tak skutecznie utrzymywane przez warszawskie uczelniane organizacje partyjne, kontakty poziome. Jestem pewien, że te kontakty narodziły się pod wzmożoną presją ludzi młodych? W ogóle partia, szczególnie teraz, w czas odnowy powinna w większym stopniu zwracać się do młodzieży, a jej nowy statut musi usankcjonować obecnie licznie rodzące się nowe rozwiązania i pomysły.

odcinanie drzewa od korzeni

Z. Rawa: — Skoro mowa o statucie. Już w jego pierwszym punkcie widzę poważny problem. Wydaje mi się, że wielu naszych członków nie zna zasad ideologii marksistowskiej.

M. Latos: — Czy musi?

Z. Rawa: — Otóż to! Chodzą słuchy, że część podstawowych organizacji partyjnych wyszła z wnioskiem, aby zreformować punkt pierwszy statutu określający, że członkiem partii może być ten, kto uznaje program partii i opowiada się za ideologią marksistowską. Ponieważ większość społeczeństwa polskiego to ludzie wierzący, proponują one, aby zrezygnować z drugiej części tego punktu. Czy możemy przejść nad tym do porządku dziennego. Chodzi przecież o pryncypia.

R. Szmyt: — Słychać też jednak inne pytanie, czy takie właśnie sformułowanie punktu pierwszego statutu nie przyczyniło się do podziału naszego społeczeństwa na wierzących i niewierzących, co nie wyszło nam na dobre.

Z. Rawa: — Nie tylko takie kryteria dzieliły nasze społeczeństwo. Nie sięgam daleko. Po wojnie był podział na tych, którzy opowiadali się za socjalizmem i tych, którzy do nich strzelali; potem naród zaczął się dzielić na partyjnych i bezpartyjnych. Teraz zaczyna się dzielić na „Solidarność" i resztę. Ten ostatni podział boli zresztą najbardziej. Powinniśmy się różnić, a nie dzielić.

Redakcja: — Skoro opowiedzielibyśmy się za partią kadrową a nie masową — bo tak musiałoby być przy konsekwentnym stosowaniu wymogów ideologicznych — to ten pierwszy punkt statutu nie powinien być kwestionowany. Gdyby od tego odstąpić byłoby to odcinanie drzewa od korzeni.

R. Szmyt: — Nie można od razu wymagać, żeby każdy wstępujący do partii, szczególnie ten mniej wykształcony, był obkuty w marksizmie.

J. Szymanowski: — Póki co, nikt tego nie żąda.

W. Wołkowski: — Nietrudno nawet zgadnąć, dlaczego. Faktem jest, że słowo walka ideologiczna zostało wykreślone z życia partyjnego.

R. Szmyt: — Teraz, kiedy trwa walka polityczna — nie ma co tego owijać w bawełnę — partia marksistowska ledwo wydobywa swoją broń, podczas gdy druga strona święci triumfy. I niewiele widzę znaków, byśmy wychodzili z głębokiej defensywy. Ostatecznie bowiem liczą się skutki a nie życzenia.

Opracowali: MAREK ROSIŃSKI
STANISŁAW ZAGÓRSKI

kontakty kontaktów

W Rajgrodzie jest uliczka Rajgrodzik (piękna nazwa), od niedawna asfaltowa, z deptakami i klombami róż. Dotychczas była wprawdzie nieoświetlona, ale ostatnio również zajęto się tą sprawą. Cieszyli się mieszkańcy tą uliczką, ale niedługo. Powstała bowiem przy niej baza spółdzielni produkcyjnej. W krótkim czasie pozabierano ludziom działki, powycinano drzewa i tak piękną drogę zamieniono w bagno. Ciężki sprzęt zniszczył jezdnię i klomby. Chociaż były inne miejsca w mieście, ojcowie miasta „woleli" zdewastować urokliwą uliczkę, niźli zaplanować tę inwestycję gdzie indziej. Zamiast oszczędzić drzewa i skorzystać z gotowych dróg, zubożono rajgrodzki pejzaż i wyrzucono w błoto pieniądze.

R. KOSZKIELEWICZ
wczasowicz z Warszawy

*

Miałem szczęście brać udział w balu sylwestrowym w restauracji „Kasztelańska" w Czyżewie. Już w pierwszych chwilach zaszokowało mnie zachowanie kierowniczki restauracji, szczególnie sposób, w jaki zwracała się do swojego personelu, cyt.: „Gdzie te k... pochowały się?". Początkowo nie wiedziałem, o kogo chodzi, ale wkrótce okazało się, że o kelnerki obsługujące restaurację. Spostrzegłem również, że pani kierowniczka była zamroczona alkoholem i wprost nie panowała nad sobą. W czasie balu dowiedziałem się, że takie zachowanie kierowniczki nie jest rzadkością i podobno nie ma siły, aby ją zmienić na inną, gdyż jest dobrą koleżanką wiceprezesowej i utrzymuje zażyłe stosunki z innymi osobistościami w Czyżewie.

Jeden z uczestników balu
(nazwisko do wiadomości redakcji)

*

Notatka, która ukazała się w rubryce „Spięcia" („Kontakty" nr 1(28) w dniu 8 I 1981 r.), a zwłaszcza jej ostatnie zdanie obliguje mnie do ustosunkowania się do niej. Prawdą jest, że jestem bardzo sfrustrowany, ale nie tylko brakiem siedziby. Rzeczywiście problem bazy dla potrzeb działalności kulturalnej w Turośli jest bardzo smutny. Prawdą jest również to, że pełnię wiele funkcji społecznych (w sumie chyba efektywnie). Pozostałe sprawy zawarte w notatce wymagają sprostowania, gdyż są wręcz absurdalne. Autor nie zna widocznie sytuacji z autopsji i dysponował wiadomościami bardzo nieścisłymi. Okazał się po prostu nie najlepszym snajperem, trafiając zaledwie w białe pola tarczy, daleko od „dziesiątki".

Nigdy nie uzurpowałem sobie prawa do funkcji społecznych. Do ich pełnienia zostałem wybrany względnie powołany. Po prostu: w miejscowym środowisku (w większości konsumpcyjnym) nie ma zbyt wielu chętnych do angażowania się w działalność społeczną. Jest, owszem, dużo chętnych do dyskutowania, krytykowania, nawet do dawania dobrych rad. Nie sygnuję pism pieczątką i podpisem przewodniczącego ZSMP, gdyż od półtora roku funkcji tej nie pełnię. Nigdy również nie pełniłem i nie pełnię funkcji prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej, lecz jestem komendantem gminnych straży pożarnych (a to subtelna różnica). Jeśli chodzi o funkcję w Ludowych Zespołach Sportowych, to zostałem w „Spięciach" trochę zdegradowany. Nie jestem szefem koła LZS, lecz pełnię funkcję przewodniczącego Rady Gminnej Zrzeszenia LZS w Turośli.

Z braku kolorowych długopisów i odpowiedniej pieczątki, powyższe pismo podpisuję tylko czytelnie zwykłym, za własne pieniądze kupionym długopisem. Autorowi notatki życzę na przyszłość lepszego poczucia humoru.

STANISŁAW PARDO
Turośl

Od red.: W artykule „Sądny dzień" mylnie wydrukowano imię jednego z bohaterów reportażu, lek. Radosława Rytela. Przepraszamy.

rodziłam w „Pogodę dla bogaczy"

Podczas Zjazdu Wychowanków Szkół Łomżyńskich ukazał się pierwszy numer tygodnika „Kontakty". Wywołał on wśród społeczeństwa łomżyńskiego i sympatyków Ziemi Łomżyńskiej szeroki oddźwięk. Wydawało się, że fakt ten będzie bardzo znaczący w ponad 1000-letniej historii Łomży. Mieliśmy nadzieję, że oto wreszcie jest pismo, które wyrwie z marazmu łomżyńskie społeczeństwo; zajmie się jego problemami, skrytykuje to, co złe i pomoże w rozwiązywaniu licznych trudności. Niestety, od pewnego czasu w „Kontaktach" pojawiają się artykuły, czy też reportaże, opierające się na niesprawdzonych faktach, wypowiedziach osób niekompetentnych, podające racje tylko jednej strony zaistniałych konfliktów.

Obecnie, gdy w Polsce mamy tyle nabrzmiałych i ważnych problemów, kiedy toczy się ogólnonarodowa dyskusja, artykuły tego typu w tygodniku mianującym się Tygodnikiem Społecznym i Pismem PZPR są społecznie szkodliwe. Czyżby problemy społeczne leżały w plotkach? Wiemy, że tak nie jest. Ale co pomyśli czytelnik, kiedy weźmie do ręki tego rodzaju artykuł? Między innymi artykuł „Rodziłam w pogodę dla bogaczy" jest wyrazem braku znajomości jakichkolwiek zasad dziennikarstwa, napisany tendencyjnie, w olbrzymiej części mijający się z prawdą i podważający zaufanie społeczeństwa do Służby Zdrowia. Liczymy na to, że odpowiednie władze przestaną wreszcie tolerować artykuły o wydźwięku plotkarskim, goniące za tanią sensacją, kłamliwe i szkalujące ciężko i ofiarnie pracujących ludzi. Należałoby więcej uwagi poświęcić rzeczywistym potrzebom i problemom między innymi i Służby Zdrowia.

Artykuł: „Rodziłam w pogodę dla bogaczy" jest anonimowy. Autorka, czy też autor, ukrywa się pod pseudonimem. Pacjentki o takim nazwisku w tym czasie nie było w Oddziale Położniczo-Ginekologicznym. Żałujemy bardzo, że nikt z grona dziennikarzy, a zwłaszcza autor, nie rozmawiali z nami. Powiedzielibyśmy o naszych brakach, ale również o osiągnięciach. Gdyby wysłuchano i drugą stronę, wtedy prawdopodobnie zostałyby wyeliminowane z treści artykułu nieprawdziwe fakty szkalujące Służbę Zdrowia, służbę pracującą w ciążkich niejednokrotnie warunkach dla dobra społeczeństwa, a mimo to mającą niemałe osiągnięcia. Poza tym, wyrazem braku przywoitości było zamieszczenie w artykule prawdziwych zdjęć przy kłamliwej treści.

Trudno jest polemizować z kimś ukrywającym się, ale spróbujemy.

Szanowna Pani J.Z. Pisze pani o niedostatecznym wyżywieniu. Czyżby nie orientowała się Pani w jego niedostatkach w całym kraju? Wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy numer „Trybuny Ludu". Pani wyżywienie to nie wystarczało? Przecież po takiej kolacji personel szpitala pracuje przez całą noc, tracąc więcej kalorii niż leżące pacjentki.

Doskonale zdajemy sobie sprawę, że nie zawsze oddział lśni od czystości, ale jak ma sobie poradzić jedna, czy dwie salowe sprzątając po 70-pacjentkach. Nie od dziś wiadomo, że szpitale w całej Polsce borykają się z trudnościami kadrowymi, jeżeli chodzi o personel niższy.

Kłopoty z bielizną wynikają z tego, że po pierwsze ulega ona zniszczeniu bardzo szybko w dość żrących środkach dezynfekcyjnych, a po drugie: mamy niewydolną pralnię, która nie jest w stanie zaspokoić potrzeb naszego szpitala, pralnię — budowaną niestety bez wyobraźni i perspektywicznego myślenia.

Co do naczyń i sztućców, to jak wiadomo ulegają one wszędzie zniszczeniu, a co dopiero, jeżeli są słabej jakości i na domiar tego niezbyt szanowane zarówno przez personel jak i pacjentki. Poza tym szpital ma pewne limity finansowe i nie może pozwolić sobie na nadmierne zakupy, bowiem zakwestionuje to każda kontrola.

Tym niemniej informujemy, że sprawa ta została już uregulowana. Te same limity dotyczą również leków i środków opatrunkowych. Wszyscy wiemy o tym z licznych artykułów jak i z faktu, że problem ten został wysunięty jako postulat licznych załóg pracowniczych, i to nie tylko Służby Zdrowia. O ile łatwiej byłoby pracować, gdybyśmy nie odczuwali tychże braków. O ile łatwiej byłoby o uśmiech i zrozumienie między pacjentką a lekarzem, pielęgniarką czy położną. Była to odpowiedź na część artykułu, z którą zgadzamy się. Mamy nadzieję, że pomoże to Służbie Zdrowia znaleźć pełne zrozumienie u władz, jeżeli chodzi o potrzeby szpitala. Reszta, to po prostu wstrętny paszkwil, stek kłamstw, złośliwości, bzdurnych plotek i domysłów.

Jedno przejęzyczenie lekarki z Poradni „K" przyjmującej 50—60 pacjentek dziennie wzbudza u Pani J.Z. niepokój dotyczący wiedzy i umiejętności łomżyńskich lekarzy. O ich rzetelnej pracy najlepiej świadczą dane dotyczące śmiertelności okołoporodowej płodów i noworodków. W ostatnich latach w naszym województwie śmiertelność ta wynosiła: 1977 r. — 13%, 1978 r. — 17,2%, 1979 r. — 12,9% a za trzy kwartały ubr. — 11,5%. Liczby te wskazują, że poczynając od 1977 r. zajmowaliśmy kolejno II, V i III miejsce w kraju. Z wypowiedzi doc. Troszyńskiego na ostatniej Krajowej Naradzie Inspektorów Położnictwa wynika, że zamierzeniem Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej jest uzyskanie średniej krajowej 12%. Z satysfakcją informujemy, że w szpitalu w Łomży od dwóch lat nie zdarzył się przypadek, aby przychodząca kobieta z żywą ciążą urodziła martwe dziecko, a przecież z racji pełnienia funkcji szpitala wojewódzkiego przyjmujemy skomplikowane i ciężkie przypadki z całego terenu województwa. Są to dane oficjalnego biuletynu Instytutu Matki i Dziecka. Dane, z których jesteśmy dumni; dane, jakimi pochwalić się mogą tylko kraje o wysoko postawionej Służbie Zdrowia.

Co do osoby pani doktor, to przed dwoma miesiącami zdała egzamin specjalistyczny z wynikiem bardzo dobrym.

Pisze J.Z.: „Przybysz sprowadza mnie po schodach. Taka troskliwość na pozór". A może po prostu rzeczywiście troskliwość? „Dajemy salowej Polsilvery" Zbędny gest, tych właśnie nam nie brakuje. „Zimna woda do lewatywy" Bzdura. Oczywiście, że nie gorąca. Letnia. Jak się ma obsesję mierzenia wszystkiego (o czym dalej), należało zmierzyć temperaturę wody. Wówczas byłby to konkret.

„Trzęsę się z zimna". Ależ wtedy były najcieplejsze dni tego lata (23 sierpnia). A tak, na marginesie — czy słyszała Pani, żeby gdziekolwiek w sierpniu palono? Czyżby pretensje do Pana Boga? A więc, po co było dawać „stówę na mszę"? „Łóżko — pułapka", z którego udało się Pani na szczęście nie spaść, to skonstruowane przez specjalistów, znormalizowane dla całego kraju łóżko porodowe. Skonstruowane tak, aby umożliwić pomoc pacjentce przy rodzeniu.

„Dociera do mnie informacja, że siostra Oleńka jest na filmie". Wierutne kłamstwo. Sprawdziliśmy, nie była. Siostra Oleńka jest wyjątkowo zdyscyplinowanym i sumiennym pracownikiem. A poza tym, wskażcie nam taką położną, która w czasie dyżuru zdąży przyjąć 10 pacjentek, wypełnić dokumentację, poświęcając każdej rodzącej co najmniej 30 minut, odebrać 6 porodów, zajmować się pisaniną i jeszcze obejrzeć film. Toż to Pstrowski w spódnicy". „A ona z krzykiem". Szanowna Pani. Siostra Oleńka nie krzyczy, wręcz szepcze. A jeżeli czasem mówi głośniej, to dla Pani dobra i dziecka, gdyż przy kilku rodzących Pani nie usłyszałaby. To przecież Pani miała urodzić zdrowe dziecko i dla jego dobra siostra Oleńka „tłumaczyła Pani jak dziecku" ogólnie przyjęte zasady prawidłowego zachowania się podczas porodu.

Siostra Oleńka nie mogła także zdecydować się sama na podłączenie glukozy. Decyzje podłączenia jakiegokolwiek leku należy wyłącznie do lekarzy. „Przychodzi doktor i długo szyje. Mówię, że chyba mi nić pajęczą zakłada". Dokładnie szyje, Szanowna J.Z. Dla Pani dobra i pełnego komfortu obojga małżonków. „Przychodzi lekarz, czyta temperaturę i pyta, czy zbyt obficie nie krwawię. Skąd mam wiedzieć". Od Prof. Fijałkowskiego, którego poglądy Pani „dobrze zna". „Dziś urodziły się dwojaczki. Jedno zmarło. Mówią, że uciekła mu pępowina, bo za krótko ucięli". Mówią również, że po Łomży jeździ czarny samochód i straszy. Nie wiadomo, w jaki sposób, ale straszy. Mówią, że za cara żył taki jeden w Łomży, który miał tylko jedno oko i to na środku czoła. Żeby dowiedzieć się więcej, co mówią, wystarczy postać w kolejkach. Nie sądzi Pani, że gdyby była to prawda, to wystarczyłby prokurator. Po co więc pisać takie bzdury. „Pani Irena... z usuniętą ciążą pozamaciczną... Ja z teściową nie rozmawiam, bo po operacji chodziła po ludziach i gadała, że moje dzieci w kanałach pływają". Czy widzi Pani różnicę między tą teściową a sobą?

Teraz następuje seria cierpień związanych z najbardziej prozaiczną funkcją fizjologiczną, też pełna nieścisłości. Wszystkie pacjentki po porodzie mają kłopoty z wypróżnianiem się i nie ma w tym aż tyle niezwykłości, aby poświęcać tej czynności prawie całą kolumnę szanującego się tygodnika. Poza tym, każda położnica jest o to pytana i jeżeli ma kłopoty, otrzymuje czopek, lewatywę itp.

Opowieść o kobiecie, która jakoby spadła z łóżka i zmarła, to szczyt wymysłu. Co by na to powiedział prokurator?

I znowu... „Dodatkowo mrożą — cóż za obsesja zimna — mnie wieści na temat narodzin martwych dzieci. Niedawno zdarzył się taki poród: położna zawiązała w szmaty płód i rzuciła pod ścianę". To jest już szczyt brudów, jakie można wymyśleć. Dane, co do śmiertelności podaliśmy na początku, a za takie kalumnie należałoby oddać sprawę do prokuratora. I tak dalej, dalej... Podejrzenia, plotki, wymysły, niesprawdzone fakty.

Zakończenie artykułu zdziwiło nas: „A ja wkładam do jej kieszeni dwie stówy". Wycieńczona fizycznie i psychicznie, prawie święta od cierpień, a przyznaje się publicznie do dania łapówki. Czy Pani wie, że za łapownictwo odpowiadają obie strony? Odpowiada się również za zniesławienie, z tą różnicą, że za zniesławienie odpowiada tylko strona rzucająca oszczerstwa.

W związku z tym, że artykuł ten podając większość nieprawdziwych faktów, podważył autorytet Służby Zdrowia, żądamy wydrukowania w całości tekstu odpowiedzi. Mamy nadzieję, że Redakcja „Kontaktów" okaże się obiektywną i skoro znalazło się miejsce aż w dwu kolejnych numerach pisma na artykuł o wydźwięku plotkarskim, znajdzie się również miejsce na rzeczową odpowiedź. Od autora artykułu oczekujemy sprostowania.

WALDEMAR NOWAK
dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Łomży

ZENON SZTYKIEL
przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność"
(oraz inne podpisy)

W liście zamieszczonym obok nazwano mój dziennik — „Rodziłam w pogodę dla bogaczy" — *wstrętnym paszkwilem, stekiem kłamstw, złości, brudnych plotek i domysłów".*

Postaram się rzeczowo i bez ironii w odróżnieniu od moich opozycjonistów wyświetlić kilka niejasności, które zrodziły się nie przez moje tendencyjne i złośliwe podejście do zaistniałych w Oddziale Ginekologiczno-Położniczym zdarzeń, lecz patologiczne odczytanie opublikowanego dziennika w kręgach nim dotkniętych.

Otóż do Łomżyńskiego Szpitala Zespolonego trafiłam z konieczności i bez uprzedzeń, choć nie bez lęku, dyktowanego złą opinią społeczną o tej placówce. Redakcja zamówiła u mnie dziennik z pobytu, a jego treść wypełniły autentyczne fakty, które dane było mi przeżyć. Są one następujące:

— lewatywę robiono mi zimną wodą (a któż to lepiej wie ode mnie?);

— wymarzłam się w szpitalu jak nigdy dotąd, wróciłam do domu z przeziębieniem, a przyjmowane leki (m.in. ampicilina) sprawiły, że dziecko karmiłam piersią zaledwie trzy tygodnie;

— wysokość łóżka porodowego ułatwia niesienie pomocy rodzącej, ale nie sprzyja poruszaniu się przedwcześnie na nim położonej, kobiety ciężarnej;

— wypadło mi rodzić w „Pogodę dla bogaczy", a że nie było komu porodu odebrać, musiałam poczekać do końca filmu;

— poza p. Teresą z Jedwabnego i mną nikt tego wieczoru przed północą nie rodził: moje samozaparcie i nieodpowiedzialność siostry Oleńki opłaciłam długim szyciem „nicią pajęczą", za co lekarz nie ponosi przecież winy, podobnie jak za to, że szew goił mi się z górą dwa miesiące;

— o śmierci drugiego dziecka dowiedziałam się od jego matki, i nie zaprzeczy temu żaden oficjalny biuletyn;

— bezpiecznej byłoby dla mnie i dla dziecka, gdybym od początku nie ukrywała swoich związków z redakcją;

— trudno ode mnie wymagać, abym dobrowolnie doświadczyła na sobie dobrodziejstw leżenia we wszystkich oddziałach Szpitala z powodu zwykłej ciąży, a do tego swoje wrażenia konsultowała z dyrektorem! Ale nic straconego: moi redakcyjni koledzy to schorowani ludzie: poza tym wiele innych osób (pacjentów) umiejących trzymać długopis chętnie odda sprawiedliwość prawdzie na łamach „Kontaktów".

— o kompetencjach piszących oraz znajomości zasad dziennikarstwa niech decydują fachowcy: ja nie podważam kwalifikacji pracowników Szpitala, jedynie zapisuję fakty. Zasadą jest, że ich odbiorcy reagują podobnie: „Fakty są przeciwko nam? Tym gorzej dla faktów"! (i dla ich łowców).

JOANNA ZIMNA

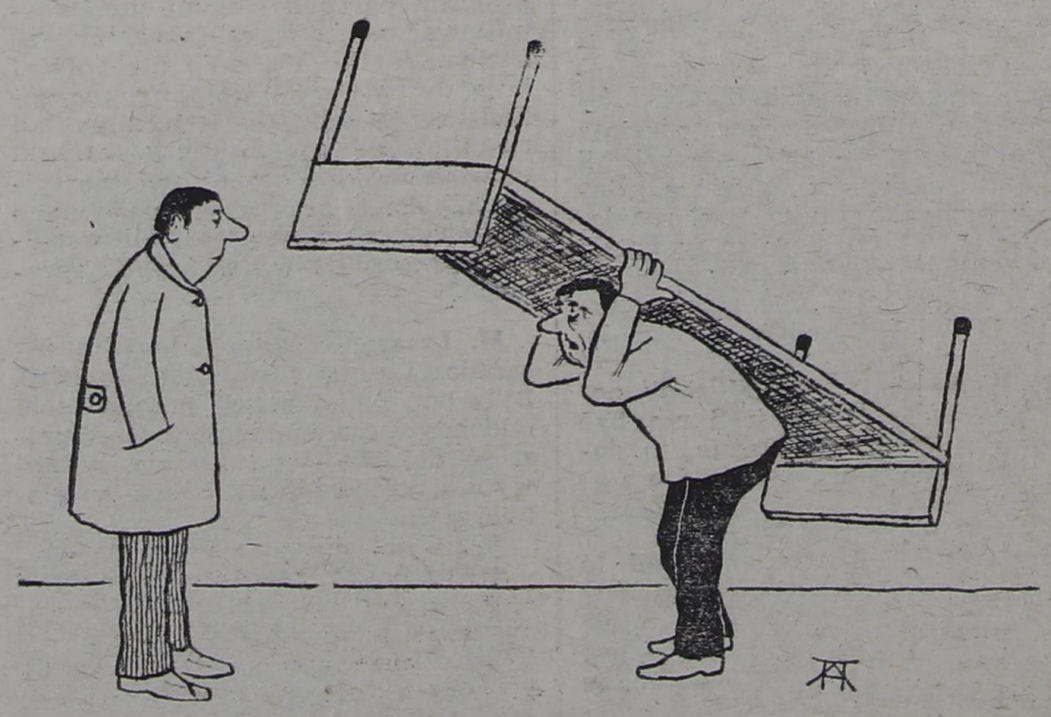

Rysunek ANDRZEJA ADAMOWICZA

polemiki

raport o stanie świerzbu

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY

Najlepsze dowcipy, tak przynajmniej twierdzą niektórzy, opowiada się o sobie i o sprawach najlepiej sobie znanych. Chociażby taki: do pewnej przychodni dermatologicznej zgłosiła się pacjentka skarżąca się na upławy i swędzenie. Lekarz, po zbadaniu jej, powiedział: — Bardzo mi przykro, ale to rzeżączka.

— Chwała Bogu — kobieta odetchnęła z wyraźną ulgą. — Obawiałam się już, że to świerzb.

Gdyby nawet i tę historię złożyć tylko na karb czyjegoś poczucia humoru, to jednak w przejrzysty sposób ilustruje ona stan świadomości społecznej, czy może raczej nadwrażliwości wynikającej z przecenienia społecznych właśnie, a nie zdrowotnych skutków tej choroby.

Świerzb jest chorobą wstydliwą. Zakażenie się nim zawsze było i jest kojarzone z niehigienicznym trybem życia, a kto ostatecznie ma ochotę przyznać się, bo przecież tak na ogół to się ocenia, że żyje w brudzie. Dlatego też dużo prościej wmawiać sobie i innym, że są to jakieś sprawy alergiczne, wrodzone czy związane z dolegliwościami wieku starczego. Trudno uwierzyć pani, która dziennie wylewa na siebie kilkadziesiąt litrów wody, zużywa pół kostki mydła i skrapia się buteleczką perfum „Pani Walewska", by to, co spotyka „brudasów", mogło przytrafić się także jej. To prawda, że najlepsze warunki do rozwoju znajduje świerzb w brudzie i pocie. Ale trudno przecież ustrzec się przed podaniem temu czy owemu dłoni.

Takie przypadkowe zachorowania są oczywiście sporadyczne i nie one świadczą o powadze problemu. Główną przyczyną szerzenia się świerzbu jest brak kultury zdrowotnej. Chociaż statystyki nie przemawiają za tym w tak wymowny sposób, dotyczy to najczęściej wsi. Śniadowo nie jest tu ani wyjątkiem, ani przykładem szczególnym. Po prostu gmina, w której wygląda to mniej więcej normalnie.

— Najgorzej jest w szkołach. Ile razy robię przeglądy, to aż się za głowę chwytam. Brudne kołnierzyki, brudne szyje, a często i gorzej, wszawica, świerzb. Wzywam matkę, a ona mi tylko: „Proszę nie mówić nikomu". I dalej swoje. Ja stąd pochodzę, to bez badania wiem, co u kogo znajdę. Ciągle te same rodziny. Rodzice harują, wracają zmęczeni. Dzieci też często w polu. Umęczą się, nie umyją. Co najwyżej, jeżeli matka każe, przepłuczą rączki, nóżki, buzię. O jakiejś większej kąpieli mowy nie ma, chociaż w niejednym domu łazienka nie gorsza niż w mieście. Brakuje sił, nie ma zwyczaju utrzymywania higieny. Jeżeli o małe dziecko jeszcze się zadba, to już zupełnie tragicznie ze starszymi. Tak jest np. w klasach siódmych i ósmych, co może się wydawać najbardziej zaskakujące. Bo przecież dzieci już duże, powinny same zadbać o siebie. Tak myślą starsi. Skutki widoczne: przeciętnie co dziesiąte dziecko ma wszawicę i świerzb. Zimą nawet co trzecie. My możemy mówić, polecać, ale rezultat z reguły i tak jeden. Jeżeli się wezwie do Ośrodka — dziecko jest czyste, umyte, pachnące, gdy zrobimy niezapowiedziany przegląd — brudne, zaniedbane. Dobrze chociaż, że jeszcze nas, lekarzy i nauczycieli się wstydzą. Bo przecież sąsiad sąsiada nie, skoro i u tamtego to samo.

Jest w Śniadowie taka wielodzietna rodzina, której członków od najstarszego po najmłodszego — ciągle widzę w Ośrodku. Pani doktor wysłała kiedyś matkę z dzieckiem do Łomży na konsultację. Nie leczyli nawet, tylko kazali najpierw zająć się wszawicą i świerzbem. Przychodzi później matka i mówi prawie z płaczem: „Pani doktor, ile się wstydu najadłam. Wystarczy, że pani wie, żeby mi chociaż pani powiedziała, że tam też będą sprawdzali". Taka jest mentalność tu u nas. Byle tylko przed innymi po pańsku, to wśród swoich choćby w gnoju. Strasznie trudno to zmienić.

✱

Świerzb jest chorobą infekcyjną, wywołaną przez specjalny rodzaj roztoczy, tzw. świerzbowiec ludzki. Pasożyt ten wyglądem przypomina miniaturowego żółwia. Samica ma długość pół milimetra, samce są dwukrotnie mniejsze. Po zapłodnieniu, które dokonuje się na powierzchni skóry człowieka, samiczka przenika do naskórka ryjąc w warstwie rogowej kilkumilimetrowe korytarze, tzw. nory świerzbowe. Znajdujące się na grzbietowej powierzchni pasożyta nieco pochylone kolce pozwalają mu na posuwanie się tylko do przodu. Samce giną zaraz po akcie zapłodnienia, natomiast samice niedługo po złożeniu jaj, z których po pięciu dniach wylęgają się larwy. Po przejściu kilku kolejnych przeobrażeniach wydostają się one na powierzchnię ludzkiej skóry i tam stają się dorosłymi świerzbowcami.

Zakażenie świerzbowcem następuje wówczas, gdy na skórę osoby zdrowej przechodzi zapłodniona samiczka świerzbowca. Ma to miejsce najczęściej przez bezpośredni kontakt z człowiekiem zarażonym lub za pośrednictwem pościeli, bielizny, rzadziej innych przedmiotów. Przeciętnie okres wylęgania świerzbowca trwa 3—5 tygodni, w lecie ulega skróceniu do kilku dni. Jeśli na skórę dostaje się większa liczba zapłodnionych samiczek, pierwsze objawy świerzbu występują wkrótce po zakażeniu. Pełny rozwój osiąga choroba po upływie 6—8 tygodni, tj. okresu niezbędnego do przekształcenia się larw w osobniki dojrzałe płciowo, zdolne do zapłodnienia. Świerzb występuje również u zwierząt domowych: koni, krów, świń i kotów, ale dla człowieka pasożyty zwierzęce niebezpieczne są tylko w niewielkim stopniu.

Nie zawsze jeszcze wiadomo, co przede wszystkim należało i co należy zmienić. Zmieniła się jak na razie patogeneza i immunologia świerzbu. Jego umiejscownienie i przebieg są inne niż przed piętnastu laty. Niezmiennie natomiast konkluduje się z zaskoczeniem. „Co? Świerzb? W naszym nowoczesnym kraju? Jeszcze coś takiego istnieje?"

Statystyczny Polak zużywa zupełnie przyzwoitą ilość wody, mydła, szamponu. Statystyczny Polak wydaje na nie nawet coraz więcej złotówek. Polak statystyczny, przeciętny, dostaje jeszcze mydło i ręczniki w zakładzie pracy. „Za darmo". Co z nimi robi, tym już statystyka się nie interesuje.

Notabene, cena jednej kostki mydła wzrosła z 3,20 złotego w 1975 roku do 9 złotych w roku 1978, przez co można było zmniejszyć dostawy z 42 tysięcy ton do 38, i jeszcze na tym zarobić.

Najprawdopodobniej przypadkiem wspomniany już rok 1978 okazał się rokiem szczególnych sukcesów świerzbu. Drapał się wtedy jeden na trzystu obywateli naszego kraju. W Łomżyńskiem jednak drapano się dwukrotnie więcej.

Statystyka opiera się na faktach potwierdzonych, dlatego trudno powiedzieć, czy nie było gorzej. Przecież dopiero w 1977 roku wprowadzono obowiązek rejestrowania wszystkich przypadków i ognisk świerzbu, dopiero wtedy też uznano go za chorobę zakaźną i rozpoczęto z nim walkę. Nie o tym jednak myślał drapiący się mieszkaniec jednej z łomżyńskich gmin. Ostatecznie było mu wszystko jedno, czy drapie się sam, czy w większym towarzystwie. O ile z ulgą przyjął bezpłatne lekarstwa, to obowiązek leczenia się potraktował z daleko idącą rezerwą. Wymowa faktów jest bardzo niepokojąca: u 40 proc. dzieci do lat piętnastu stwierdzono objawy świerzbu. W tej sytuacji może zabrzmi jak paradoks twierdzenie pracowników łomżyńskiego Sanepidu, że najlepsze efekty przynosi współpraca z Kuratorium Oświaty i Wychowania. Paradoksem jednak nie jest. Cóż z tego, że potrafi się przekonać dzieci, skoro nie udaje się to ze starszymi, którzy rozumują najwidoczniej, że skoro przeżyli ze świerzbem za pan brat pradziadowie, przeżyją i oni. Nie przejmują się tym, że przy „zaświerzbionych" rodzicach leczenie dzieci jest sprawą beznadziejną. A że swędzenie jest dokuczliwe? To trudno, grunt że na świerzb się nie umiera.

O dziwo, handel, choć nie straszono go makabrycznymi wizjami nieszczęść narodowych, stosunkowo szybko wprowadził produkty potrzebne do przygotowania maści oraz mydła: szare i siarkowe. Te dobre intencje nie zostały przez najbardziej zainteresowanych należycie docenione. W dalszym ciągu kolorowe, pachnące mydełka są synonimem higieny, choćby najlepszy, ba, nawet znajomy lekarz tłumaczył, że zwykłe, szare jest znacznie zdrowsze. Stwierdzono już dawno, że najbardziej szkodliwe są wszelkie olejki eteryczne i zapachowe. Niestety, zbyt często wprowadza się na rynek produkty o niesprawdzonym działaniu biologicznym, które trzeba następnie wycofywać. Mydła, szampony podobno dezynfekujące, bywają niekiedy bakteriologiczne. Mimo to zdarza się już, że wycofane ze sprzedaży niebezpieczne produkty trafiały do sklepów.

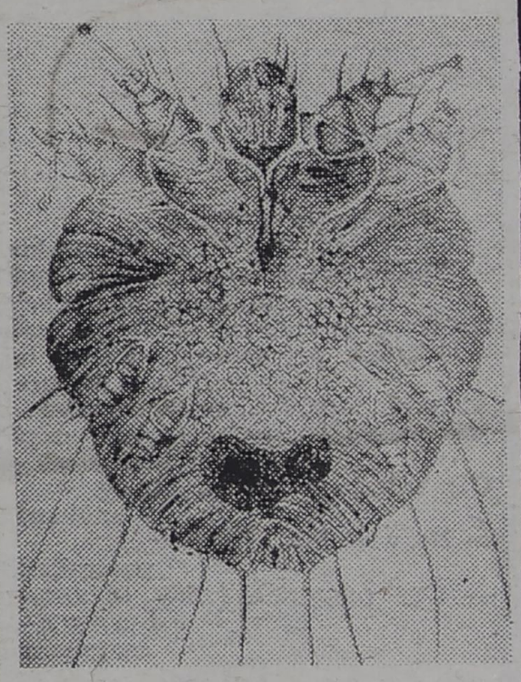

Także ani lekarze, ani uczeni, nie zmienią sposobu ubierania się. Wyroby syntetyczne nie są zdrowe — nie tylko świerzb rozwija się dobrze w syntetycznym otoczeniu — ale przecież nie zastąpi się ich całkowicie bawełną, wełną, lnem. Prawdopodobnie nowoczesna odzież i artykuły kosmetyczne przyczyniły się do plagi świerzbu w RFN-ie i krajach Beneluksu. Jednak tam uporano się z nią szybko stosując maść HCH. Część lekarzy polskich ma do niej zastrzeżenia: że zawiera środki toksyczne, że jest niebezpieczna dla małych dzieci i kobiet ciężarnych. Wszystko to oczywiście prawda, ale tylko wtedy, gdy nie przestrzega się wskazań lekarzy. Pozostaje więc nadal najbardziej wypróbowana maść Wilkinsona — siarka, dziegieć i smalec. Chyba jedyny środek od wielu lat niezmieniony. Tak jak od wielu lat niezmieniona pozostaje mentalność ludzka. Od niej przede wszystkim powinniśmy zacząć. Nic tu bowiem nie pomogą nowe środki, a nawet wzrost liczby lekarzy i pielęgniarek. Najlepszy specjalista niestety nie pomoże, jeżeli pacjent sam nie zgłosi się do przychodni. Trudno też wyobrazić sobie, aby gromady pielęgniarek biegały po wsiach i miastach z wiaderkami maści i pędzlowały podejrzanych i opornych świerzbowiczów. Co pozostaje w tej sytuacji? Sanepid, który może pociągać do odpowiedzialności? Samym karaniem jednak nie zmieni się mentalności ludzi. Perswazją chyba też nie. A na pewno już nie od razu.

punkt widzenia

nie pomogą dobre chęci

TADEUSZ WIERZBOWSKI, nowo mianowany dyrektor Szpitala Wojewódzkiego w Łomży: — Pracuję w Łomży od 1957 roku, a w latach siedemdziesiątych byłem kolejno dyrektorem ZOZ-u, zastępcą dyrektora Szpitala Wojewódzkiego i z-cą Lekarza Wojewódzkiego. Problemy lecznictwa łomżyńskiego nie są więc mi obce. Dlatego też, chociaż jestem dopiero w trakcie obejmowania tego stanowiska, zdaję sobie sprawę zarówno z ogromu jak i charakteru najważniejszych problemów, które będę się starał rozwiązać. Otóż moja najlepsza wola i największe wysiłki nie pomogą, jeżeli nie zostaną podjęte odpowiednie działania i decyzje, zarówno na szczeblu najwyższym jak i naszych władz wojewódzkich. Jednym z najpilniejszych zadań jest poprawa lecznictwa podstawowego. Wymaga to zatrudnienia około 20 lekarzy. Rzecz jasna, nie ma ich w Łomży. Trzeba ich tutaj ściągnąć. Nasze władze zagwarantowały im prawdopodobnie mieszkania. Ilość lekarzy w naszym województwie sięga zaledwie połowy średniej krajowej. W samej Łomży powinno być 10—12 rejonów, a jest 6. Rejony te należałoby też scalić, aby w każdym było co najmniej dwóch lekarzy. W czasie nieobecności jednego, mógłby go zastąpić kolega. Nie można zrywać ścisłych kontaktów rejonów z oddziałami szpitala, które winny czuć się odpowiedzialne za pracę swych agend. Pewna integracja wprowadzona po roku 1972 została następnie zastąpiona pełną dezintegracją, która odstraszyła już wielu od pracy w rejonie. Znikome preferencje płacowe za pracę w rejonach nie wpływają na decyzje specjalistów. A lepsza organizacja pracy odciążyłaby pogotowie ratunkowe, zbyt często obecnie wzywane do popularnych zachorowań, z którymi pacjent powinien zgłosić się w przychodni. W 1979 roku wystarczyły 3 karetki, a w 1980 jeździło 5 i to „na okrągło".

Jeszcze trudniejszym zagadnieniem niż zdobycie kadry są problemy z tzw. bazą. Lecznictwo podstawowe jest jej praktycznie pozbawione. Jedyny budynek przy ulicy Armii Czerwonej, ceniony zabytek XIX-wieczny, wymaga natychmiastowego remontu. Inspektor bhp zamknął już część gmachu. Niebawem powinniśmy go zupełnie opuścić, ale nie mamy gdzie się przenieść. W 1973 planowano budowę dużej przychodni. Przygotowano dokumentację i lokalizację. Jej rozpoczęcie zostało jednak wstrzymane po stworzeniu województwa. Powstała wtedy koncepcja budowy nowego szpitala. Władze widocznie uważały, że szpital załatwi wszystko. Przychodnię skreślono więc z inwestycji, a na szpital poczekamy jeszcze z 10 lat. Obecnie gabinety specjalistyczne mieszczące się w szpitalu oraz w dwóch barakach, które dumnie nazwano Pawilonami Wojewódzkiej Przychodni specjalistycznej. Władze wiedzą o naszej sytuacji. Czekamy na ich decyzję oraz wynik pracy specjalnej komisji zajmującej się zbadaniem możliwości adaptacji budowanego gmachu KW PZPR do potrzeb lecznictwa otwartego. Taki postulat wpłynął zarówno od TKZ „Solidarność" jak i naszej zakładowej „Solidarności" i organizacji partyjnej. Moim zdaniem tego typu budynek byłby dla nas ratunkiem. Każda przyzwoita przychodnia czy poradnia wymaga od 150 do 200 m kw. powierzchni. Takich pozycji mamy ponad 20, a więc potrzebujemy na nie około 4 tys. m kw. Można by znaleźć tam miejsce na szkolenie, ewentualnie na hotel dla pielęgniarek. Bardzo potrzebny jest też dom dla przewlekle chorych. W szpitalu mamy niesamowitą ciasnotę. Zbudowany w 1965 roku z przeznaczeniem na cztery oddziały podstawowe, ma ich teraz 6. Oprócz tego „wprowadziło się" tu pogotowie, rentgen i kilka przychodni. Przez budynek, który powinien być zamknięty przewija się dziennie 600—800 ludzi. A jest to przecież szpital, nie dworzec. Jak w takich warunkach utrzymać wymaganą higienę? Ponadto mamy ogromne kłopoty z zakupem środków piorących i dezynfekcyjnych, bielizny pościelowej i osobistej, fartuchów lekarskich. Podobnie jak w całym kraju, odczuwamy niedostatek środków opatrunkowych i lekarstw, szczególnie antybiotyków. Wyżywienie jest okropne.

D. A. W.

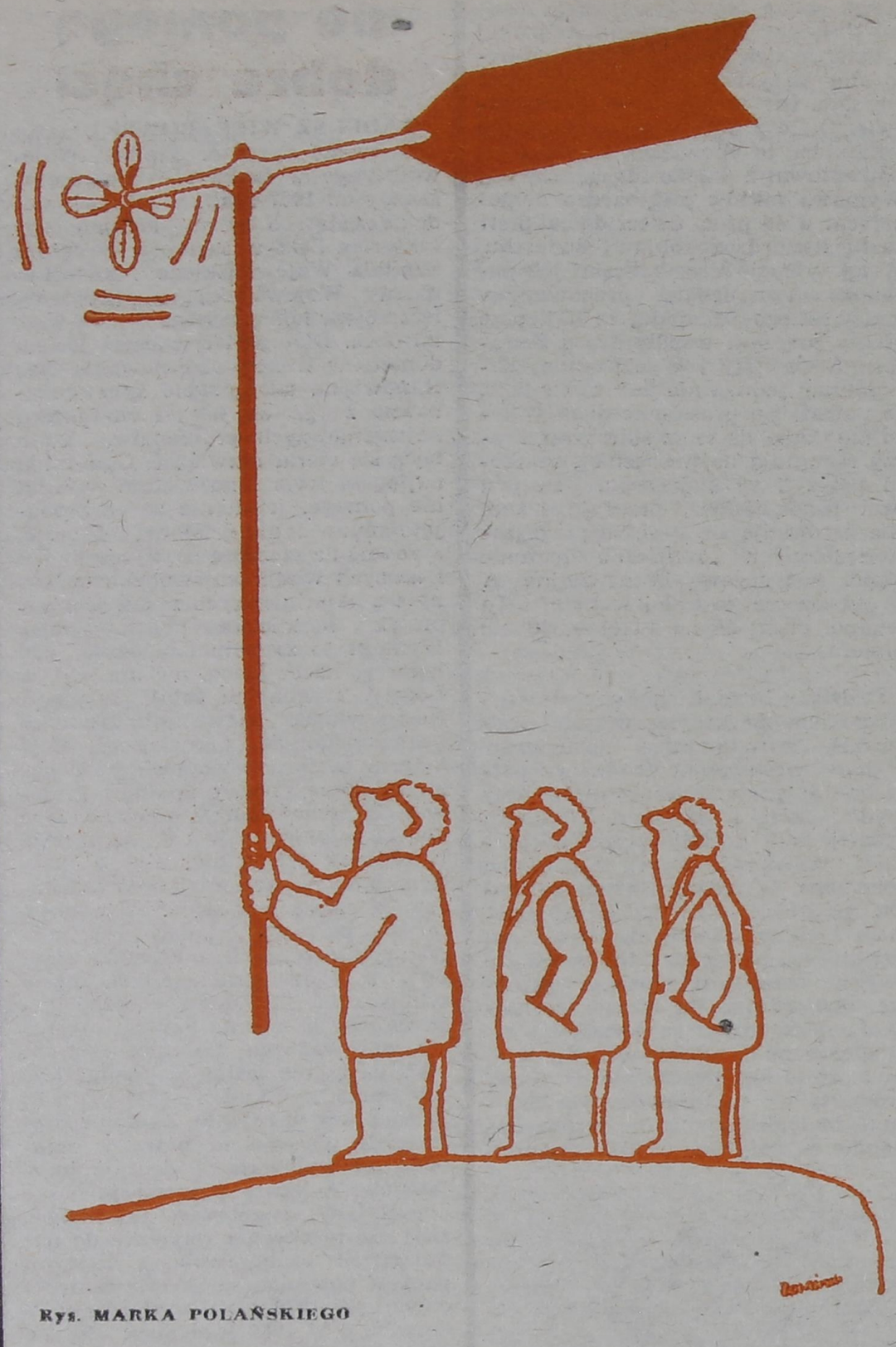

Rys. MARKA POLAŃSKIEGO

— Oto radiowa zaczyna się szopka,
— Bez niedomówień, bez wielokropka.
— Pełno w niej będzie ludzi i zdarzeń,
— Czasów ostatnich przeobrażeń.
— Do drzwi szturmuje tłum bohaterów
— Z willi i daczy, ulic i skwerów!
— Kolejka niczym po gazety!
— Mężczyźni, dzieci, starcy, kobiety!
— Obok siwego woluntarysty
Stoi bezzębny cień aktywisty.
— Za nim profesor nauk wszelkich,
Lichawej wiedzy, ambicji wielkich.
— Jest i dyrektor, szef jakiejś kliki,
Znawca układów i polityki.
— Mówca, orator, organizator,
— Tęskniący za nim prokurator.
— Przy oficjelu oficjalista —
— Długa ta szopki klientów lista.
— W kolejce też idea stoi,
— Jednakże milczy, bo się boi.
— Cały ogonek — stumetrowy,
— Kończy go dzielny duch odnowy!

CHÓR: *(na mel. „My jesteśmy krasnoludki")*
My jesteśmy cyrulicy,
Oj, tak tak, (bis)
Podstrzygacze i strażnicy —
To nasz fach. (bis)
Tu podgolić, ufryzować,
Oj, tak tak, (bis)
A tam przyciąć, przeforsować —
To nasz fach. (bis)
Tu za czarno i pochmurnie,
Coś nie tak! (bis)
Tu nie stoi na koturnie,
Tego brak. (bis)
Przeczytamy wszystkie strony
I na wspak. (bis)
Stempel oraz tusz czerwony
To nasz znak. (bis)

— Tylko... coś ostatnio nasze życie jakby cięższe.
— Jakby nasze fryzowanie coraz węższe...
— Właśnie nam ustawę jakąś wysmażają.
— Już nożyce same z ręki wypadają!
— Tak czarno na białym los nam rysuje się marny.
— Musimy coś zrobić, ratować nasze czerwone na czarnym!

RAZEM: *(na melodię „Przepijemy naszej babci...")*

Założymy niezależny związek nowy,
Samorządny, zawodowy. —
Niebanalny, unikalny, idealny
Absolutnie, całkowicie... cenzuralny!
— Zanim przyjdzie nam z tej szopki zniknąć, panie bracie,
Spójrzcie jeszcze raz ostatni, co tam w księdze, czy możemy puścić ten kabaret.
Sznycel... szambo... szydło... szalet...
Nie rozumiem, co to znaczy, szopki nie ma —
Czy zniesiona już na szopkę anatema?
— No więc jak właściwie, czy puszczamy?
— Czy puszczamy? My tę szopkę znów — o d n o w a — zaczynamy.

CHÓR: *(na mel. „Ty pójdziesz górą")*

Niepewne czasy dzisiaj nastają
Dla nas działaczy,
Różne komisje już rozliczają
Z wilii i daczy.

SOLO: *(ballada dziadowska)*

Posłuchajcie ludkowie,
Co wam dziadek łopowie!
Kole Supraśla i Wasielkowa,
A także pod Niewodnico,
W ostatniech czasach, rzecz to nienowa,
Sie wyprawiało Bóg wi co.

Piły dźwienczeli, stukali młoty,
Rosły wileje i dacze —
Naród się strasznie rwał do roboty,
A zwłaszcza różne działacze.

Jeden miał chody, drugi mamone,
Trzeci wyłoncznie zasługi;
Sie budowali jak te szalone,
A kraj pogrążał się w długi.

Worki cymentu prosto z budowy,
Cegła za grosze z przeceny,
Transport przeważnie zawsze firmowy —
Ludziskom nie brakło weny.

Dla pracowników zlecał dyrektor
Swojo budować chałupe,
W innem znów miejscu, inny protektor
Najmował ludzi za zupe.

Pobudowali calutkie wioski
Z asfaltem, wodociągamy,
Żywot w nich wiedli prawie że boski,
Jenszy niż wioskowe chamy.

Tamte po wengiel do miasta grzeli.
Sie ustawiali w kolejki —
Te wszystko mieli, czego zechcieli,
Nawet hiszpańskie kafelki.

Dla jednech widły tylko spod lady,
Na kartki pasza treściwa —
Dla drugiech wszystko poprzez układy
W demokracyi tak bywa.

W końcu nastali te czasy nowe,
Słychać po daczach modlitwy:
Naród sie zabrał sam za odnowe —
rozpendza kliki i sitwy.

Dziś niepotrzebne ludziom parkiety
Ani dembowe szalunki,
Czas taki nastał, jakby, niestety,
Że so potrzebne rachunki.

— Piękne dzięki za balladę!
Tu wam, dziadku, grosik za nią kładę.
— piniendzy nie potrzebuje,
Ja społecznie dziś pracuje.
Innym dziadom forse dajcie.
Jakim? No to posłuchajcie!

SOLO: *(na mel. „Jeszcze jeden mazur dzisiaj")*

Ten co innych na dywanik osobiście wzywał,
Do Angnelli po dywany ze świtą przybywał.
Dyrekcja się w pas kłaniała —
Nie błagał, nie prosił,
Komisja mu przeceniała,
On dywan wynosił.
Przeceniano dywaniki wszystkie, tak jak leci —
Dla teściowej, wuja, szwagra, dla wnuków i dzieci.
Więc mu ciągle było mało,
Aż doczekał chwili,
Że się więcej już nie dało
Bo go ocenili.
(bis — chór)

Starzy ludzie powiadają, czyś duży, czy mały:
Nie przesadzaj, gdy masz władzę, nie przeginaj pały!
Naważyłeś sobie piwa —
Pchnęli cię w odstawkę.
Z układami różnie bywa,
Bierz na to poprawkę.
(bis — chór)

— Do broni, patroni, opinia nas goni!
— Choć nam siwizna głowy już pruszy —
Jesteśmy młodzi i nikt nas nie ruszy.
— Pod patronatem młodzieży
Jednorodzinny dom się nam należy!
— Razem, młodzi przyjaciele!
W naszych willach tkwią wasze cele!

— Cisza! Proszę o spokój! Koleżanki i koledzy, bracia i siostry w inicjatywie patronackiej! Przed laty wystąpiliśmy z cennym pomysłem: budowy mieszkań przez młodych i dla młodych — który podjęliście wy, drodzy koledzy dyrektorzy licznych instytucji oraz firm budowlanych. Jednogłośnie uznaliście wtedy, że młodość nie zna granic i ten jest młody, kto chce mieć taki właśnie patronacki domek jednorodzinny, najlepiej z garażem oraz tarasem. Zgodziliśmy się z wami, przyznając wam rację, a także działki budowlane, kredyty, limity na materiały budowlane i tak dalej. Należy tu przypomnieć, że każdy z was miał już kilkupokojowe co najmniej mieszkanie, co uznaliśmy za okoliczność szczególnie was preferującą i wyróżniającą jednocześnie. Niestety, wsteczne, nieodpowiedzialne siły dziennikarskie zakwestionowały zasadność powyższych ustaleń. Szczególną odrazą napawa nas fakt, że działo się to w czasach, kiedy wszelka krytyka była wyjątkowo szkodliwa i niepożądana. Głęboko przekonani o jedynie słusznej drodze, jaką obraliśmy prowadząc walkę za wasze — dobrze pojęte — interesy, w dalszym ciągu będziemy wam patronować, aż do całkowitego zapatronowania. Natomiast wrednym dziennikarzom odpowiadamy: ręce precz od naszych młodzieżowych spraw! W razie czego, sprawdzonym wzorem krypnieńskim, zalejemy pały przy okazji jakiejś młodzieżowej uroczystości, powybijamy wam zęby, a później złożymy na milicji zeznania, że to wy nas biliście, o! Zatem niech żyje i umacnia się młodzieżowe budownictwo patronackie. Niech żyją młodzi powyżej lat czterdziestu pięciu, którzy dźwigają na sobie brzemię dyrektorskiej odpowiedzialności! My także kiedyś będziemy dyrektorami, czas nam myśleć o swojej przyszłości!
— Młodzież mamy wyborową!
— Potrafi dziś ruszać głową.
— Dosyć o sprawkach młodości —
Innych mamy w szopce gości.

SOLO: *(na mel. „Pero, pero")*

Raz dziennikarze się zebrali,
Aby odnowę proklamować.
Ze stu ich było w jednej sali,
Każdy chciał trochę pogardłować.

Ten na cenzurę, ów na rządy,
Tamten na wszelkie tu porządki,
Tak wymieniali swe poglądy,
Wszelako były też wyjątki.
Pero, pero,
Jan, Dionizy oraz Vero
(bis)

Wstał jeden z dwójki Hemingwayów,
Pawluczuk Andrzej się nazywał,
Nawiązał do prastarych dziejów,
O demokrację wypytywał.

Kusiba Marek, kontestator,
Z kartki odczytał swe kazanie.
Po nim przemówił Hip-orator,
Lecz trzech znów inne miało zdanie.
Pero, pero,
Jan, Dionizy oraz Vero
(bis)

Dzisiaj nastały inne czasy,
Bo utwardziła się odnowa.
Kiedy do głosu doszły masy —
I nikt już się nie da czarować.

Dziś wszyscy mamy wspólne zdanie,
A nawet nieźle nam się wiedzie.
I gdyby było dziś zebranie,
To stara gwardia będzie w przedzie.
Pero, pero,
Jan, Dionizy oraz Vero
(bis)

Morał z piosenki tej wynika
(Niech między nami to zostanie):
Im bliżej człowiek jest świecznika,
Tym później, bywa, zmienia zdanie.

Trudniej rozsądne myśli zbierać,
Kiedy kopniaka da historia,
I nie ma na czym się opierać
Bo cała wali się teoria.
Pero, pero,
Jan, Dionizy oraz Vero
(bis)

— Co tam, panie, w polityce, macie jakieś nowe wieści?
— Zaraz coś w głośniku chwycę... O! Za chwilę będą treści.

S
Nadajemy dziennik lokalny.
Stan naszych dróg — fatalny.
W Łomży plenum się odbyło,
Dwustu ludzi nad czymś radziło.
U rolnika w brańskiej gminie
Przyszły na świat cztery świnie.
Tamże — fakt to niebywały —
Krowy mleko dawały.
W Ełku oraz Szudziałowie,
Powiększyło się pogłowie.
W pegerze pod Knyszynem
Strajk ogłosił ojciec z synem.
Na koniec prognoza pogody:
Jest zima, więc będą w Hortexie lody.

CHÓR: *(na mel. „Prząśniczki")*
Tu prząśniczki plotą
Koszałki opałki,
Wysłuchuje to-to,
Białystok, Suwałki,
Łomża i Grajewo, Mikołajki, Pisz,
Kolno, Bożejewo, Kurejewki tyż.
Do wsi Konowały
Radiowiec zajechał.
Nagrywał dzień cały,
Aż w końcu odjechał.
Na antenie będzie reporterski zwiad,
Że tu jest jak wszędzie, że tu także świat.

— W takim razie co w gazecie — popatrzymy,
Może w niej coś ciekawego — zobaczymy!
— Pierwsza strona: materiały agencyjne.
— O, przepraszam! Są i listy nazwisk... okazyjne!
— Na spotkaniu X się spotkał gdzieś z załogą.
Tam powiedział, że Polacy jeśli chcą, to mogą.
— Y wręczył...
— X poręczył za Y-ka.
— Dziewięć razy wymieniono po nazwisku człeka.
— Strona druga: Interpress, PAP-y i CAF-y,
W taki sposób nie popełni prasa gafy.
— Może dosyć już o prasie?
O czym innym może da się powiedzieć choćby dwa słowa?
— Zgoda. Jeszcze raz o d n o w a!

SOLO: *(na mel. „Okularnicy")*
Co dzień rano
Po ulicy,

Pojedynczo i parami,
Idą smutni urzędnicy
Z teczuszkami:
Jeden większy, drugi mniejszy —
Każdy działacz niegdysiejszy
itd. itp. itd.

Tak działali
Przez lat wiele,
Świątek, piątek i niedziele,
Tak działali, tak działali —
Aż przestali.
Już nie będą działać więcej,
Za te polskie sześć tysięcy
itd. itp. itd.

Będą teraz
Szukać pracy.
Czy ich wezmą na działaczy?
Czy do usług ich skierują?
Czy zbrakują?
Będzie trochę zamieszania,
A może i wałęsania
itp. itd. itp.

Gdy się tyle,
Lat działaczy,
Coś się we człowieku paczy,
Wszelki rozum zawodowy
Znika z głowy.
Ot, zapłata za te lata:
Miotła, kilof, młot, łopata
itp. itd. itp.

— Każde dziecko dziś wam powie,
że już dosyć o odnowie!
O! Do szopki drzwi ktoś puka.
Któż to taki?
— To nauka!

SOLO: *(na mel. z filmu „Ewa chce spać")*

Na jubileusz w medycznem
gronie
Uczelnia album wydała,
A w tym albumie na każdej
stronie
Ta sama postać widniała.
To w gronostajach, to w
garniturze,
A zawsze na pierwszem planie
Wśród decydentów, u siebie w
biurze —
Pamiątka po niem zostanie.
Jedno ze zdjenciof magniuficencja
Wyrwać wszelako kazała,
Bo na tym zdjenciu jego prezencja
Do pasa tylko stojała.
Tłum popleczników przyklasnął
zgodnie
Szybko po klej sie rzucili
I na to miejsce we dwa tygodnie
Lepszy fotogram wkleili.
Lecz zawistnikom chmurzo sie
czoła,
Co na tej fotce widnieli,
Czemu nas nie ma — każden z
nich woła —
Czemu z albumu wycieli?
Ślad po nas żaden nie pozostanie,
Mimo medycznech sukcesow.
I chociaż tego nie było w planie,
Doszło do różnech ekcesow.
Morał z ballady taki wynika:
Jeśli chcesz przejść do
wieczności —
Miej fotografa, nie rzemieślnika,
Co cie uwieczni w całości.

— Pora zacząć o kulturze
— Kiepsko coś kulturze wróżę
— Co się może dziać w kulturze,
kiedy etnografia w górze?
— Do teatru wstąpić pora.
— Co znów grają, „Rewizora?"
„Balladynę"? „Szczęście
Frania?"
Naród się przed Franiem
wzbrania.
— Pewnie graliby „Hamleta",
Tyle że publiczność nie ta.
— Patrz, Węgierko, na nas z
nieba!
Takich nam teatrów trzeba!
— Cóż Węgierko, poczciwina,
Przecież to nie jego wina.
— Drugi jeszcze teatr mamy.
Przedstawiamy?
— Przedstawiamy!

Rys. ANDRZEJA PODULKI

SOLO: *(na mel. „Krakowiaczek ci ja")*

Dziś w teatrze lalki
Nową sztukę grają!
Na premierze bajki
Dzieciaki ziewają.

Zdumieni rodzice
Łapią się za głowy
Patrząc na te wice,
Bo tu czas odnowy!

Król Herod paskudny
Postulaty zbiera.
Cały spektakl nudny.
Wlecze się chimera!

Święci aniołowie
Ogłaszają strajki.
Komu dzisiaj w głowie
Takie głupie bajki?

— Wiesz co, bracie, o czym myślę?
Nic nie było o przemyśle.
— Słusznie, ale o czym by tu,
By nie wciskać ludziom kitu?
— Kombinaty, Peberole —
Kryć nie będę: Polmos wolę!

(na mel. „Kobieto, kobieto")

Polmosie, Polmosie choć tyle masz
wad
Bez ciebie cóż wart, cóż wart byłby
świat!

Brak wideł i grabi,
Nie staje ciągników,
Lecz Polmos nas wabi,
Przysparza wyników.
Ziemniaki i żyto przerabia on w
mig —

Na zdrowie, panowie!
Hej siup, no to cyk!
Gdy palniesz kielicha
Lub flaszkę żytniówki,
Choć licha zagrycha —
To twoje złotówki,
Wliczone w ogólną regionu
produkcję,

Podnoszą wskaźniki,
przynosząc destrukcję.
Skowyczą dzieciaki
I żona wciąż jęczy,
Bo układ jest taki,
Że tata się męczy.
Im więcej wypije, obroty pomnoży.
Choć czasem pobije, dochodu
przysporzy.

SOLO: *(na mel. „Criminal tango")*

Kiedy wyjdziesz w noc do miasta,
Gdy księżyca lico zgaśnie —
Czyś mężczyzna, czy niewiasta —
Licz, że ktoś cię po łbie trzaśnie.
W bramie stróż porządku stoi,
Patrolowy wóz umyka,
Zbir nikogo się nie boi,
Z nim zostajesz sam na sam.

Criminal tango,
Tango banalne.
Operacyjne sale szpitalne.
Criminal tango pergaminoso.
Miejskie ulice, owiane grozą...

Sinusojda pnie się w górę,
Rośnie krzywa mordobicia,
Obywatel daje w rurę,
Wyrabiając plan spożycia.
W kryminalnej statystyce
Czwarte miejsce zajmujemy,
Mniej dziś jemy niż pijemy —
Butelkowy nastał czas.

Criminal tango
Żytniej bez kłosa.
Criminal tango,
Krew cieknie z nosa.
Criminal tango pergaminoso —
To proza życia, owiana grozą.

— Stop, już dosyć o butelce,
Lepiej grajmy inną kartą.
Czy tam stoi ktoś w kolejce,
O kim jeszcze mówić warto?
— Stać nie stoi, nie wypada...
Szopka mu wizytę składa

(recytacja na pokładzie muzycznym — „Nad pięknym modrym Dunajem").

— Na fali odnowy wypłynął ezłek
nowy.
— Na program ludowy, garnitur
liliowy!

Przy ulicy Mickiewicza
Urzędowa trwa narada:
Wojewoda wciąż podlicza,
Ile czego naród zjada.
Ile mięsa, ile chleba,
Ile komu czego trzeba,
Czy dwie nogi od wieprzaka
Zrównoważą pół cielaka?
Czy salceson, podrobowa,
To wędlina wyborowa?
Czy na kartki dzielić ryż?
Komu jaki przyznać krzyż?
Komu talon dać na grabie
Temu chłopu, tamtej babie?
Jak podzielić, czego brak —
Może tak? A może siak?
Wojewoda łamie głowę:
Takie ma problemy nowe!
Tylko starzy urzędnicy,
Biurokracji bojownicy,
Kombatanci gier stołkowych,
Czasów starych, czasów nowych
Doradzają mu — i cześć! —
Żeby sam się nie dał zjeść.

Rysunek ANDRZEJA PODULKI

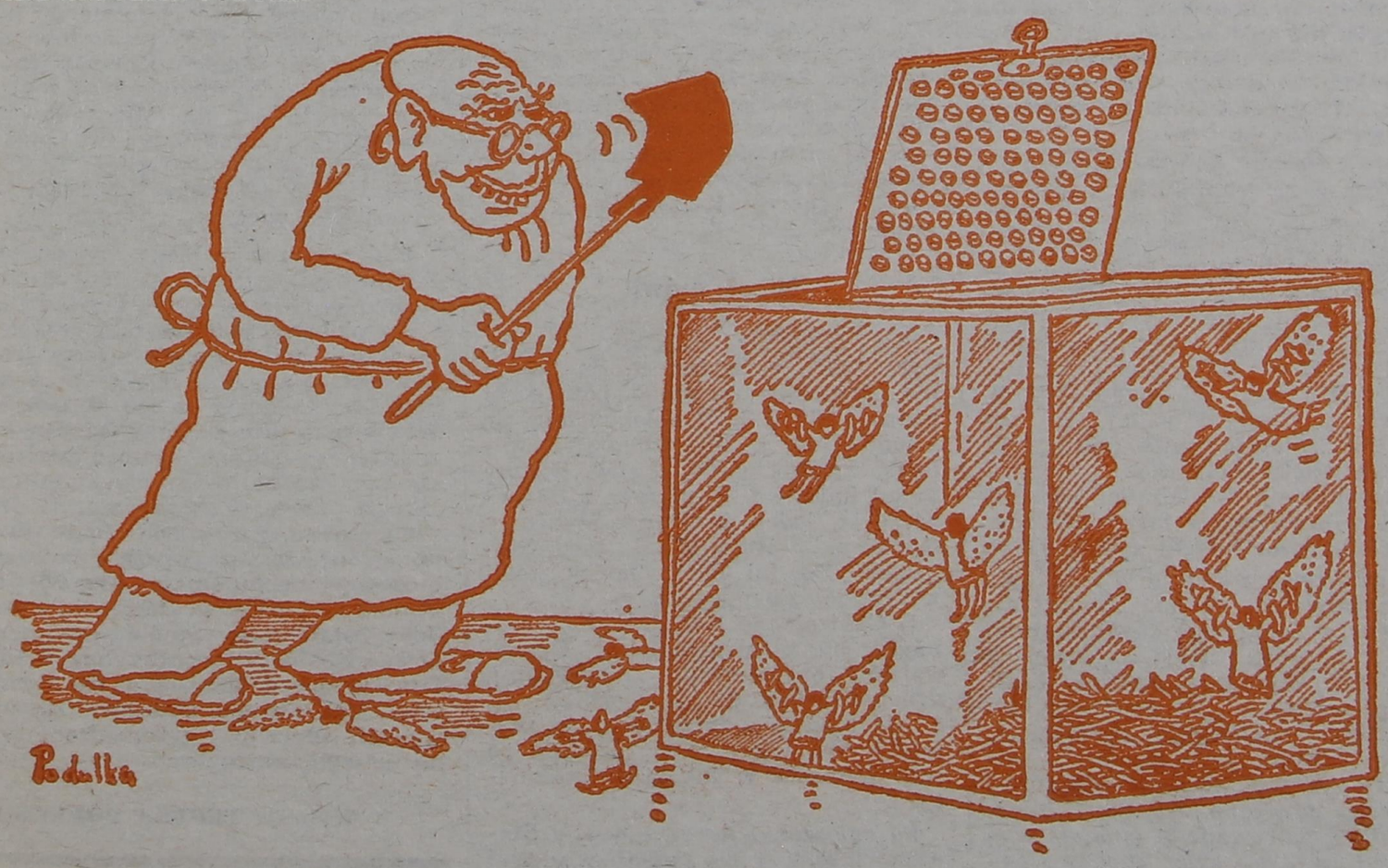

spięcia

Widocznie rubryka „Kontakty »Kontaktów«" nie obliguje dyrekcji WSS „Społem" do zajęcia stanowiska wobec adresowanych do niej pretensji. Może jej nawet nie czyta? Ale zna przecież pismo swoich pracownic z Zakładu Fryzjerskiego w łomżyńskim osiedlu Jantar, które słusznie (acz bezskutecznie) dopominają się poprawy warunków pracy. Prosimy WSS o odpowiedź na trzy zaledwie pytania: 1) Jak sobie dyrekcja WSS wyobraża pracę trójki pań na dwóch stanowiskach, a jak ich wydajność, limitowaną zaledwie trzema suszarkami? 2) Czy chciałaby, aby ktoś z jej najbliższych pracował na okrągło w świetle jarzeniówek, w pomieszczeniu bez klimatyzacji, za to ze stęchłym lenteksem? 3) Jeśli umowa o pracę działa jednokierunkowo, to po co komu dyrekcja?

*

Prowadzony przez GS w Rutkach magazyn nawozowy w Kossakach Nadbielnych jest wizytówką naszych czasów. W oczekiwaniu na obsługę przy pomocy wagi dziesiętnej rolnicy wyliczyli, że w kilkudziesięciu oknach magazynu czernieje brudem tylko kilkanaście szyb. Z nudów dywagują: lepiej je wybić czy wymyć?

*

W dniu 8 I br. do KW MO wpłynęło pismo komisji remanentowej z Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych w Łomży, w którym stoi, że komisja — w dniu 5 I br. — ujawniła brak radia (tu numery i wartość przedmiotu — 2100 złotych) w gabinecie wiceprezesa. On sam potwierdził tę stratę w dwa dni później. Czyżby dopiero wtedy zauważył? To kłopotliwe pytanie przywołuje następną wątpliwość: czy nie należałoby stworzyć komisji remanentowych ds. głów na karku?

*

Tęsknoty za wiejską zagrodą prezes Sądu Wojewódzkiego rekompensuje sposobem traktowania swojego — dużego i agresywnego — psa. W myśl przekonania, iż pies jest stworzony do pilnowania domu, wypuszcza go luzem na klatkę schodową bloku. Przerażeni współlokatorzy gotowi są zafundować zwierzęciu budę i solidny łańcuch, ale własne podwórko powinien sobie jego pan nabyć osobiście. Najlepiej — poza miastem.

*

Mieszkańcy Szczuczyna nareszcie odkryli, gdzie idą pieniądze przeznaczane na remonty miejskie, bo przecież nie na podupadłe komunalne zasoby mieszkaniowe. Ponoć budynek Urzędu Miasta i Gminy wielokrotnie prześcignie niedługo wewnętrznym wystrojem gabinety nie tylko wojewodów, ale i samego premiera. Parafrazując poetę — szczuczynianie, głęboko przejęci kryzysową sytuacją gospodarki krajowej, tak interpretują sobiepańskie poczynania miejscowych urzędników: „Niech na całym świecie wojna, byle nasza głowa spokojna".

*

Mieszkańcy ul. Rynek w Wysokiem Mazowieckiem uprzejmie proszą kioskarkę „Ruchu" oraz właścicielkę pobliskiej kwiaciarni, aby były one sympatyczne wobec Tadeusza S., pracownika Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, to może zechce on zwrócić kosz na śmieci pod kiosk, a wówczas panie będą mogły zadbać o czystość otoczenia swojej pracy. Z dyspozytorami koszów nie ma żartów!

*

Jak wynika z częstotliwości pisania tu o ekscentryczności taksówkarzy — środowisko to cechuje najwięcej kolorytu. Oto niedawno jaśnie pan szofer (LOM 2612, nr boczny 86) odmówił wiezienia pasażerów do osiedla Południe, równoważąc wymówkę propozycją: — Wybudujcie sobie, panowie, drogę! — Gdyby wszyscy pracujący w tym mieście tak traktowali utrudnienia zawodowe, kontestujący taksówkarz nie miałby co jeść, w co się ubrać, i nie wyszedłby bezpiecznie na ulicę.

ZAPIS LOSU

Zanim nastała cisza

Będąc członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej wiedziałem o przygotowaniach do rozbrajania Niemców. Zwołałem wybitych przedstawicieli miasta i zorganizowałem Komitet Obywatelski Łomży. Na czoło wysunęliśmy rejenta Kurcjusza, który za Niemców był prezydentem miasta. Udaliśmy się do niemieckiego gubernatora wojskowego i zaproponowaliśmy mu dobrowolne przekazanie nam magazynów i władzy w mieście. Po wysłuchaniu naszych żądań gubernator zdębiał i zapytał: „Czy wyście zwariowali?" Rozmowę prowadziliśmy w podniesionym tonie. Usiadłem tak, żeby widzieć przez okno, co dzieje się na Placu Pocztowym (obecnie pl. Duboisa). Wiedziałem bowiem, że o godzinie osiemnastej POW rozpoczyna akcję zbrojną.

W parę minut po osiemnastej na placu przed pocztą czterech peowiaków obstąpiło dwóch niemieckich żołnierzy. Wzięli ich na cel. Odebrali im broń i puścili. Gdy tylko zauważyłem, że coś zaczyna się dziać, zawołałem gubernatora, żeby podszedł do okna. Ten zerknął w okno i skoczył do telefonu, ale telefon już nie działał!

Zostawiłem komitet u gubernatora, a sam pobiegłem do chłopców spełniać swe obowiązki. Na ulicy Śniadowskiej (obecnie Świerczewskiego) i Polnej (obecnie Armii Czerwonej) słychać było pojedyńcze strzały. Zza rogu strzelali Niemcy. Zawołałem do nich po niemiecku, żeby nie strzelali, bo w koszarach jest już Soldatenrath. Patrol niemiecki uwierzył i poszedł do koszar. Na ulicy Dwornej (obecnie 22 Lipca), naprzeciw dawnej cerkwi spotkaliśmy drugi patrol i dwóch pijanych żołnierzy. Na moje tłumaczenie, że zawarliśmy pokój z Soldatenrathem, jeden pijany, chwiejąc się na nogach, strzelił do nas, ale nie trafił. Chłopcy, którzy byli ze mną, skoczyli do niego i obezwładnili go. Drugi Niemiec bez protestu oddał broń.

Na Starym Rynku (obecnie Pl. Żeglickiego) strzelano wzdłuż ulicy Giełczyńskiej. Jeden z naszych chłopców dostał kulę w brzuch i upadł na środku ulicy, blisko synagogi (dziś nie istniejącej). Dopiero po kilku minutach udało się peowiakom zajść od ulicy Polnej i unieszkodliwić patrol pod dowództwem oficera. Rannego wzięliśmy na nosze i schroniliśmy w podwórku przy ul. Senatorskiej, pod opieką mieszkających tam Żydów. Mieliśmy go zanieść do szpitala, jak tylko się uciszy.

Posuwaliśmy się Giełczyńską w kierunku cmentarzy. W budynku, w którym mieścił się posterunek niemiecki, było ciemno i cicho. Gdy chłopcy wpadli do środka, usłyszeli głos: „Zaś czekamy na was..." Koło godziny 21.00 w mieście zapanowała cisza. POW miała magazyny w swoim ręku. Walka ustała.

Legioniści

Po upadku Niemców do Łomży przybył 4 pułk piechoty legionowej pod dowództwem gen. Bolesława Roi, którego znałem w cywilu w Krakowie. W Klubie Wioślarskim urządziliśmy dla nich powitanie i zabawę taneczną. Czwartacy byli bardzo weseli i mieli wspaniały chór. Toteż panny, które przybyły na powitanie, bawiły się znakomicie. Pułk w rewanżu zaprosił miasto do koszar.

Umówiliśmy się z oficerami, że po pracy o godzinie siedemnastej będziemy się spotykali na werandzie cukierni Płodowskiego. Było tam rojno i wesoło. Starzy endecy od początku bojkotowali to zbliżenie z legionistami. I tu zaczął się bunt córek i żon endeków, którzy nie pozwalali im spotykać się z legionistami. Coraz to parę dziewic i matek zwracało się do mnie, żeby je wprowadzić do towarzystwa.

W roku 1920 łomżyński pułk piechoty otrzymał liczbę 33. Powołano mnie wtedy do wojska. Byłem lekarzem w randze kapitana. Najpierw organizowałem służbę zdrowia na wschodnich terenach ruchomych walk z Ukraińcami. Balansowaliśmy między Hrubieszowem a Włodziemierzem Wołyńskim. W Hrubieszowie zorganizowałem szpital zakaźny. Miałem tam dużo chorych — Ukraińców i Polaków — na gorączkę wołyńską, na dur brzuszny i plamisty. Stałej linii frontu nie było. Oprócz piechoty działała tam grupa ochotników prowadzona przez majora Jakowskiego, a potem przybyli Hallerczycy.

Zachorowałem na poliarthrittis i zostałem wycofany do batalionu zapasowego 33 pp w Łomży. Następnie zaraziłem się tyfusem plamistym. Po chorobie byłem na badaniu w wojskowym szpitalu ujazdowskim w Warszawie. Tamtejsi lekarze orzekli powiększenie wymiarów serca w lewo o 2 cm, niedomykalność zastawki dwudzielnej, niedotlenienie mięśnia sercowego, i odesłali do Ciechocinka na leczenie.

Po tygodniu pobytu w Ciechocinku zorientowałem się, że wojska bolszewickie zbliżają się do Łomży. Przerwałem leczenie i wróciłem do miasta, do służby wojskowej.

W roku 1922 zwolniłem się z wojska, ale utrzymywałem stały kontakt z kolegami z pułku. Organizowaliśmy spotkania z mieszkańcami miasta i okolicy — w Klubie Towarzyskim, w Klubie Wioślarskim i Klubie Oficerskim.

„Czerwony diabeł"

Endecy od dawna panowali niepodzielnie nad duszami ludności łomżyńskiej. Prowadził ich ks. Kazimierz Lutosławski, doktor teologii, prawa i filozofii, ale zwolennik średniowiecznej koncepcji, że władza świecka ma być wykonawcą władzy kościelnej. Pomagali mu profesor gimnazjum Staniszkis, Romuald Bielicki, Wiktor Kłoskowski, aptekarz Komornicki i inni.

Gdy wróciłem do miasta z tytułem doktora nauk lekarskich, endecy sądzili, że mi wywietrzały z głowy mrzonki sojcalistyczne z roku 1905 i poprosili, żebym przemówił na wiecu w dniu 3 maja 1919 r. Skorzystałem z okazji. Oddałem cześć twórcom Konstytucji, ale wygłosiłem swój komentarz o prawach ludzi pracy miast i wsi. Słuchacze bili mi brawo, ale menerzy od tej pory starali się izolować mnie politycznie. Jednak dzięki ruchliwości odczytowo-oświatowej działalności społecznej i solidnej pracy lekarskiej zdobywałem coraz więcej sympatyków.

Po powrocie z wojska w roku 1922 zorganizowałem wśród robotników klasowe związki zawodowe, komitet PPS i ożywiłem ruch spółdzielczy „Społem". Wyremontowaliśmy część starego więzienia i umieściliśmy tam wszystkie organizacje robotnicze. Oprócz zebrań organizacyjnych odbywały się tam odczyty oświatowe i zabawy taneczne. Do Rady Miejskiej PPS wprowadziła podczas wyborów 8 radnych, tyleż endecy i Żydzi. Na prezydenta miasta wybraliśmy Władysława Świderskiego, bezpartyjnego postępowca. Komitety PPS mieliśmy w Grajewie, Szczuczynie, Kolnie, Zambrowie, Ostrowi Mazowieckiej, a w majątkach ziemskich po paru lub kilkunastu swoich ludzi.

Wielkim szokiem dla endeków i klerykałów stał się następujący fakt. Prezydent RP Stanisław Wojciechowski przybył do Łomży i miał spotkanie z przedstawicielami miasta w dużej sali gimnazjum. Byłem tam jako radny miejski i kierownik ruchu spółdzielczego „Społem". Gdy prezydent zauważył mnie w tłumie, zbliżył się i zaczął ze mną rozmawiać, wypytując o sprawy miejscowe. Rozmowa trwała dobrych kilka minut. Otaczających endeków mało zła krew nie zalała, że prezydent RP wyróżnił tego „czerwonego diabła", którego oni zwalczali nawet z ambon. Nie wiedzieli, że prezydent Wojciechowski znał mnie ze wspólnej pracy w Centralnej Radzie Nadzorczej „Społem" w Warszawie.

Mimo sprzeciwu większości lekarzy, zorganizowałem pierwszą w Łomży „Kasę chorych". Byłem jej naczelnym lekarzem i ordynatorem przez szereg lat, aż do chwili, gdy sanacja usunęła mnie i wsadziła na stanowisko kierownika swego człowieka.

Prowadziłem wykłady w Lidze Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Wygłaszałem prelekcje w związkach zawodowych — polskich i żydowskich — w Klubie Towarzyskim dla inteligencji. Toteż gdy sanacja chciała odznaczyć swoich działaczy, którzy znacznie mniej pracowali społecznie, miejscowi sami postarali się o Srebrny Krzyż Zasługi dla mnie.

Niech mówi!

Nie mieliśmy większych funduszów, więc w wyborach do Sejmu nie mogliśmy rozwinąć potrzebnej propagandy. [...] Po zblokowaniu się z ludowcami z „Wyzwolenia" skupiliśmy z górą 70 000 głosów. Posłem został ludowiec Szymański z Bronowa i ja, jeden senator, Stanisław Godlewski i jeden endek, prof. Staniszkis. Do tej pory endecy mieli wszystkie cztery mandaty.

Z Centralnego Komitetu PPS pieniędzy nie otrzymywaliśmy. Operowaliśmy miejscowymi funduszami, uruchomiliśmy dwa samochody. W każdą niedzielę urządzałem co najmniej dwa wiece, a w tygodniu po trzy zebrania w lokalach zamkniętych.

Po ogłoszeniu mego wiecu w Stawiskach endecy też zwołali wiec pod kościołem, ale o pół godziny wcześniej. Na mój wiec przybyło około 100 ludzi, a na endeków — około tysiąca. Zdecydowałem się przemówić na ich wiecu. Poleciłem swoim zwolennikom, aby rozlokowali się w tłumie w różnych miejscach i popierali mnie wołaniem: „Niech mówi", ponieważ przewidywałem, że ich przewodniczący nie zechce mi udzielić głosu. Gdy ich mówca skończył, wszedłem na trybunę i głośno poprosiłem o głos. W prezydium powstała konsternacja. Wołanie z tłumu było nadspodziewanie liczne i gromkie. W obawie przed zerwaniem wiecu udzielono mi głosu. W krótkich słowach wyjaśniłem, że chcemy sprawiedliwości społecznej, reformy rolnej, dostępu do szkół dla dzieci robotników i chłopów itp. Aplauz miałem duży. Podziękowałem prezydium wiecu i wycofałem się.

Innym razem, gdy wracałem z wiecu kolejką i miałem w Małkinii przesiąść się do pociągu zdążającego do Łomży, kolejarze zawiadomili mnie, że w hali warsztatów kolejowych odbywał się wiec, na którym ks. Lutosławski powiedział, że kandydat z ich listy, dr Czarnecki, to naprawdę Żyd Szwarc. W otoczeniu pięciu ludzi udałem się na jego wiec, przedostałem się do wzniesienia, na którym stał ks. Lutosławski, i podałem bilet wizytowy. Gdy go czytał, przeprosiłem, że mu przerywam przemówienie, bo spieszę się do pociągu, a muszę złożyć sprostowanie w sprawie osobistej. Korzystając z zaskoczenia przedstawiłem się zebranym, że jestem dr. Mieczysławem Czarneckim, urodzonym w Łomży, z pochodzenia szlachcicem herbu Łodzia, a nie Żydem Szwarcem — i opuściłem wiec.

Podczas niedzielnego wiecu w Zambrowie stałem na chwiejnym straganie. Gdy zacząłem przemówienie, z plebanii, pod wodzą nauczyciela szkoły podstawowej wyszły trzy dewotki i zaczęły krzyczeć: „Żyd, Żyd, w niedziele wiece urządza!" Wtedy mało kto z okolic Zambrowa znał mnie osobiście. Tłum naparł na stragan. Zareagowałem momentalnie: „Słyszę, że kwoczki wołają, iż jestem Żydem, więc niech idą ze mną na stronę, to im pokażę". Powstał huragan śmiechu i braw. Moi współziomkowie mają poczucie humoru. Żeby ostatecznie zgnębić opozycję, dodałem: „Może kwoczki chcą znieść jaja, to niech przysiądą na ziemi, żeby jaja się nie potłukły". Nowy wybuch śmiechu i zgromadzeni sami uciszyli krzyczących.

Wybrała **TERESA POLECKA**

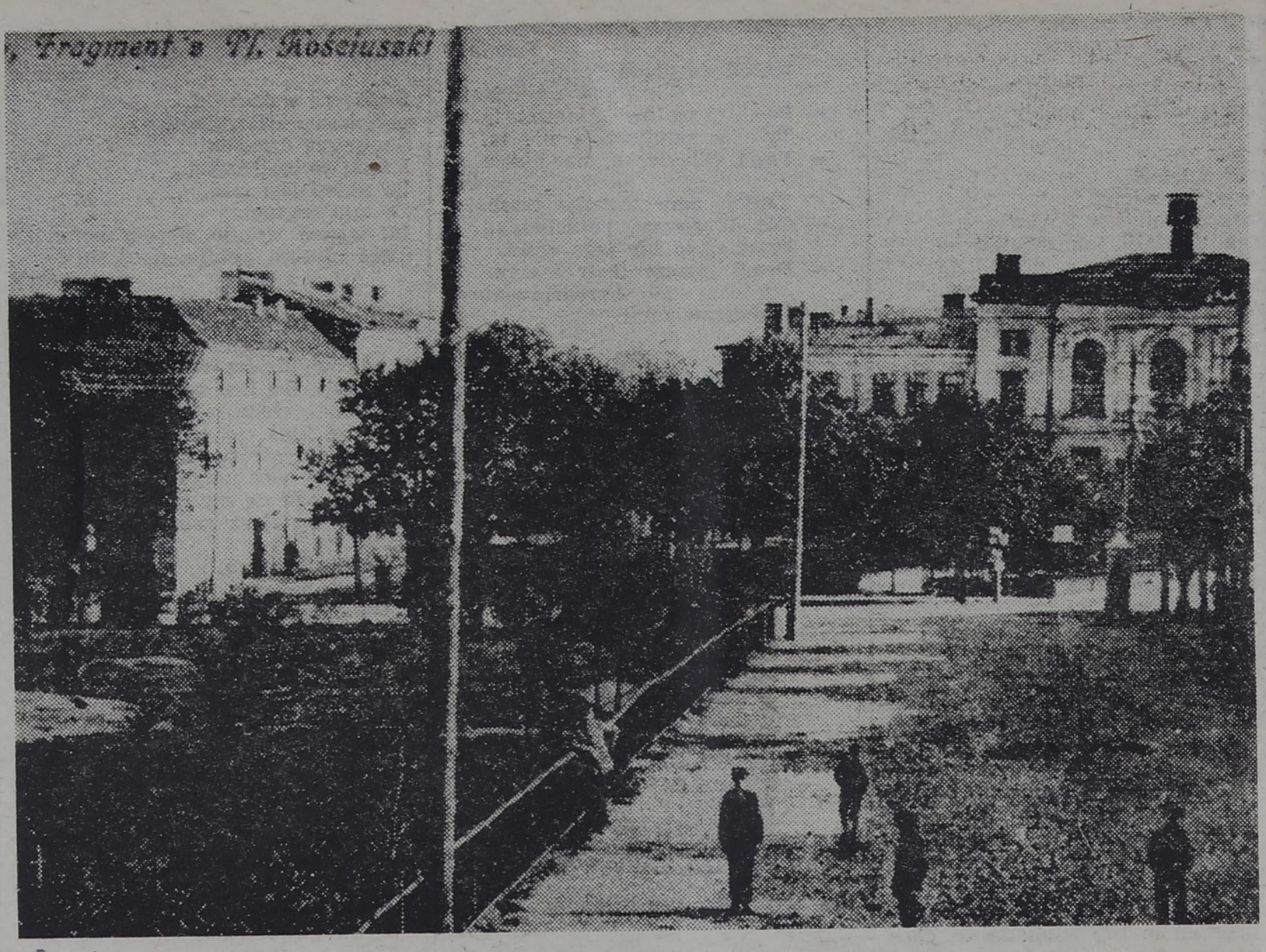

kwocza opozycja

FRAGMENTY PAMIĘTNIKA MIECZYSŁWA CZARNECKIEGO

lektura z pierwszej ręki

Ostatni rezydenci na Drozdowie

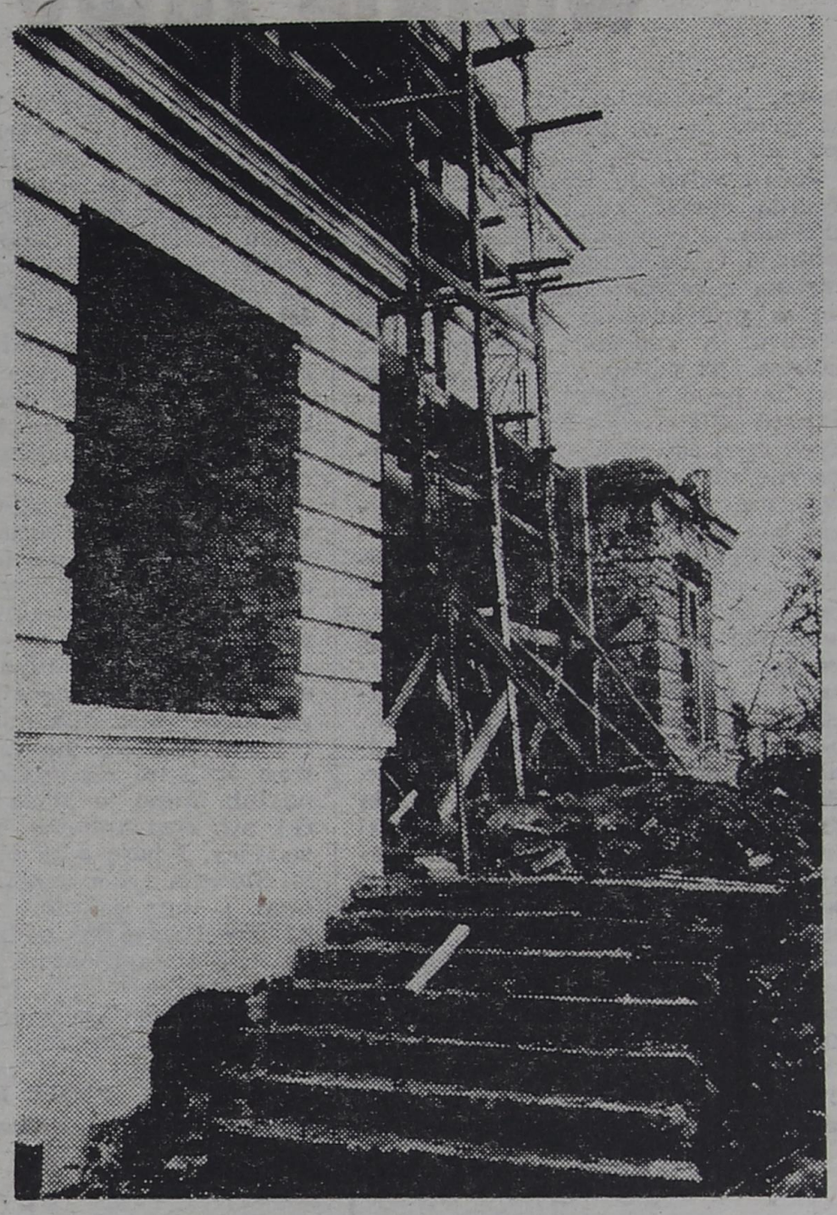

Było to w roku tysiąc dziewięćset i siedemnastym od narodzenia Chrystusa Pana i w roku pierwszym Wielkiej Rewolucji Proletariatu.

Ludzie przedmieść zajmowali domy w bogatych dzielnicach, strzeżone przez sądy, policję i — opartą na świętej własności moralność.

Dla jednych świat się kończył, dla innych zaczynał. Nieliczni rozumieli, co się stało. Sens zdarzeń przerastał przeciętną wyobraźnię. Ludzie przeczuwali jedynie, że dotrą one wszędzie, nie omijając opłotków.

*

Na przełomie czternastego i piętnastego stulecia rozpoczęła się kolonizacja puszcz leżących w Ziemi Wiskiej.

Po podpisaniu przymierza z Litwinami i zwycięstwie pod Grunwaldem te przestały należeć do niespokojnych. Nie palili już miast i wsi rycerze zakonni. Nie nachodzili ich Litwini. Powstała hossa na ziemie leżące w dorzeczu Narwi, Pisy i Wissy. Ciągnęła tu szlachta z okolic Czerska, Ciechanowa, Sochaczewa. Za sprzedane w tamtych okolicach dwie włóki można było kupić osiem, dziewięć włók piaszczystych gruntu. Na nowe siedliszcze przenosił szalchcic swoje nazwisko albo przyjmował to, które nadano tej ziemi wcześniej. W nie istniejących dziś dokumentach tyczących Ziemi Wiskiej, o których wspomina Zygmunt Gloger w swej publicystyce, jest zmianka o tym, że w roku 1410 Janusz Starszy, książe mazowiecki, podarował 60 miar ziemi na Niewodowie i Drozdowie Stanisławowi z Zakliczewa i Szymonowi z Modzel. Darowizna ta musiała być obwarowana jakimiś zastrzeżeniami, skoro wspomniany Szymon w roku 1420 zwrócił się z prośbą do Ziemowita Płockiego, który po Januszu Starszym objął te ziemie we władanie, aby potwierdził nadanie.

Nazwa wsi Drozdowo pochodzi od ptaków — Drozdów — a otrzymała ją od myśliwych lub bartników książęcych.

Osiadłszy tu Stanisław z Zakliczewa począł zwać się Stanisławem z Drozdowa. Jego potomstwo nazywało się już Drozdowskimi. Rodzina włodarzyła tę ziemię do końca XVIII stulecia. Źródła w XIX wieku wymieniają już jako właścicieli Lutosławskich.

W roku 1823 dziedzic tej wsi, Wincenty Lutosławski, napisał do biskupa augustowskiego, Ignacego Stanisława Czyżewskiego, prośbę, aby użyczył on swej powagi dla wsparcia sprawy budowy kościoła w Drozdowie.

*

Potomek Wincentego, Franciszek, miał pięciu synów: Wincentego (z pierwszego małżeństwa) oraz Mariana, Kazimierza, Józefa i Jana. Żyli oni w latach, które wymagały samookreślenia. Stanęli po stronie starego porządku, lecz bronili przede wszystkim siebie. Występowali więc przeciwko temu, co rozrywało granice spokojnej egzystencji.

Jan przyszedł na świat w roku 1875. Otrzymał wykształcenie staranne i wszechstronne. Na studia wysłano go do Rygi, Dorpatu, Halle, gdzie zdobył tytuł doktora nauk rolniczych. Wiele podróżował. W końcu oddał swój majątek w Pączkowiźnie (na Ziemi Łomżyńskiej) w dzierżawę, a sam osiadł w Warszawie. Do roku 1915 redagował „Gazetę Rolniczą". Ewakuowany do Moskwy, zorganizował tam szkołę realną i gimnazjum polskie. Pisał dla „Sprawy Polskiej", „Myśli Narodowej", „Echa Polskiego" i „Przeglądu Polskiego". W styczniu 1919 wrócił do kraju i do roku 1939 redagował „Gazetę Rolniczą". Dał się poznać jako zapalony przeciwnik przebudowy ustroju rolnego w kraju i parcelacji. Był doskonałym fachowcem. Utrzymywał kontakty z naukowcami z całej niemal Europy. Należał do wielu międzynarodowych towarzystw rolniczych; uczestniczył w ich zjazdach i konferencjach.

Po okupacji, spędzonej w Warszawie, i przejściach powstania warszawskiego, trafił do schroniska dla starców. Wkrótce odzyskał siły i powrócił do pracy w bibliotece Polskiej Akademii Umiejętności w Kórniku. Z jego inicjatywy utworzono komisję do badań fizjografii rolniczej ziem odzyskanych przy Instytucie Zachodnim. Ogłosił „Program badań rolniczo-fizjograficznych". Ostatni miesiąc życia spędził w zakładzie dla przewlekle chorych w Krakowie i tam zmarł. Pochowano go na cmentarzu w Drozdowie.

Kazimierz Lutosławski był księdzem. Ale nie spokojnym, statecznym proboszczem, lecz człowiekiem z którego życiorysu łatwo można by wykroić ze dwa albo trzy — równie ciekawe. Urodził się (także w Drozdowie) w roku 1880. Studiował medycynę w Niemczech i Szwajcarii. W roku 1903 uzyskał w Zurychu tytuł doktora medycyny. Był jednym z czołowych działaczy endeckiego ZET-u (Związek Młodzieży Polskiej). Po zakończeniu studiów przyjęto go do Ligi Narodowej i Narodowej Demokracji. Seminarium duchowne ukończył we Fryburgu, w 1914 zdobył doktorat z teologii. Był prefektem w szkołach warszawskich, jednym z organizatorów i propagatorów skautingu. Wycofał się z pracy w Naczelnej Komendzie Harcerstwa będąc przeciwnikiem tendencji militarystycznych. Ewakuował się w roku 1915 do Moskwy, gdzie stał się jednym z aktywnych działaczy Narodowej Demokracji. Potem przeniósł się na Ukrainę. Po powrocie do kraju brał czynny udział w życiu politycznym. Wszedł do zarządu Klubu Poselskiego ZLN-u. Pisał o nim Roman Wapiński: *„Należał do najczynniejszych posłów. Był wiceprzewodniczącym, a w drugiej kadencji przewodniczącym komisji: konstytucyjnej i regulaminowej, członkiem komisji oświatowej i spraw zagranicznych, głównym autorem wstępu do Konstytucji z 17 marca 1921 roku, roty przysięgi prezydenta i ślubowania poselskiego. Jako skory do ataków i polemik mówca, często zabierał głos na forum sejmowym. Wystąpienia jego wywoływały opór nie tylko na lewicy, ale budziły nieraz duże zastrzeżenia także wśród przyjaciół politycznych". On wysunął m.in. wniosek o wyjęciu komunistów spod prawa.*

Od roku 1920 pełnił funkcję kapelana wojskowego. Zmarł w Drozdowie w roku 1924.

Józef i Marian Lutosławscy zakończyli życie tego samego dnia, 5 września 1928 roku, w Moskwie, skazani i rozstrzelani pod zarzutem działalności kontrrewolucyjnej i podrobienia ważnych dokumentów dyplomatycznych.

Józef — urodzony w 1881 — skończył studia rolnicze w Zurychu i społeczno-polityczne w Londynie. Redagował organ Narodowej Demokracji „Myśl Polska". W imieniu braci administrował rodzinnym majątkiem w Drozdowie. Działał w organizacjach rolniczych i spółdzielczych, m.in. w centralnym towarzystwie rolniczym. Stał na czele łomżyńskiego Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej oraz łomżyńskiego oddziału Centralnego Komitetu Obywatelskiego. W sierpniu 1915, kiedy na Ziemię Łomżyńską weszły oddziały niemieckie, jak wielu innych, wyemigrował do Rosji. Był tam m.in. członkiem Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, komendantem Polskiej Ligi Pogotowia Wojennego. Organizował przerzuty polskich żołnierzy na Murmańsk.

Marian (ur. w 1871) był inżynierem mechanikiem i elektrykiem — ukończył studia w Rydze i Darmsztadzie. Należał do założycieli Biura Projektowo-Montażowego (elektronika, budownictwo i maszyny), które instalowało pierwsze na terenie Kongresówki (m.in. w hotelu „Bristol" w Warszawie) elektrownie z silnikami Diesla i wykonywało pierwsze roboty żelbetonowe (notabene: Marian Lustosławski był współtwórcą nazwy „żelbet"). Działał aktywnie w wielu towarzystwach technicznych. Organizował odczyty. Wydawał pionierskie prace z dziedziny elektroniki oraz na temat żelbetów. W roku 1914 poświęcił się wyłącznie pracy społeczno-politycznej. Był członkiem Narodowej Demokracji, należał m.in. do założycieli Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej. W roku 1915 został oddelegowany, jako pełnomocnik Centralnego Komitetu Obywatelskiego, do Rosji, gdzie otoczyć miał opieką uchodźców z Królewstwa. Domagał się utworzenia w Rosji polskich sił zbrojnych, kierowanych politycznie przez endencję — popadł więc w konflikt z władzą radziecką.

Najznamienitszym z braci Lutosławskich był Wincenty — najstarszy. Żył najdłużej z całego rodzeństwa. Przyszedł na świat w roku 1863 — w czasie ostatniego w okresie rozbiorów zrywu narodowego, i całe jego życie było burzliwe, jakby na potwierdzenie przepowiedni ze znaków na niebie i na ziemi w dniu narodzin. Studiował chemię na politechnice w Rydze, potem w Dorpacie. Po przerwie wrócił do Dorpatu i — obok chemii — zajął się filozofią. Trafił na profesora Teichmüllera, a więc w krąg spirytualistów i klerykałów. W wiele lat później spisał swoje refleksje z młodości, które towarzyszyły lekturze „Układów" Platona: *„czułem się nagle odwiecznym i wiekuistym duchem, różniącym się zasadniczo od ciała, przeto nieśmiertelnym i niezniszczalnym, a co za tym idzie, niematerialnym. Ta świadomość raz nagle zdobyta w 22-gim roku życia, nigdy ani na jedną chwilę zachwianą nie była".*

Zanim jednak zajął się nauką Platona, uzyskał dyplom kandydata filozofii, kandydata chemii i stopień magistra filozofii na uniwersytecie w Dorpacie. W roku 1890 rozpoczął pracę naukową z tytułem docenta w Kazaniu.

Dzieła Platona studiował w British Museum. Osiągnięciem, dzięki któremu Wincenty Lutosławski wszedł na stałe do historii filozofii, było ustalenie chronologicznej kolejności dialogów Platona. Doszedł do tego drogą drobiazgowej analizy różnic stylu pisarskiego. Wykonał pracę, na którą mógł się porwać szaleniec. Oto, co na ten temat pisał w liście z 8 kwietnia 1896 roku z La Coruna: *„Szczególną trudność sprawia statystyka stylu Platona. 36 autorów wzajemnie o sobie nic najczęściej nie wiedzących robili obserwacje nad sposobem użycia różnych wyrażeń etc. we wszystkich dziełach Platona. Obserwacje te najczęściej nie miały na celu odróżnienia chronologi dzieł, ale przy odpowiednim ugrupowaniu pozwalają na wnioski nadzwyczaj pewne. Chodzi o obliczenie, ile cech wspólnych sobie ma każda para dialogów. Trzeba więc ułożyć tablice frekwencji każdego szczegółu, a takich cech naliczyłem aż 451. Jest to bardzo męcząca i drobiazgowa praca: trzeba uwzględnić i gatunek (doniosłość) cechy każdej i ile razy w każdym z 22 dzieł autentycznych się zdarza. Jest zatem (451x 22²x4) × (1—200) faktów do interpretacji, czyli przeszło milion, a w faktów milionie trzeba pamiętać o każdej każdego faktu stronie".*

Podróżował po Europie zachodniej i Ameryce Północnej. Doktorat uzyskał w Helsinkach. Wykładał filozofię w Krakowie, Lozannie, Genewie. W roku 1899 zetknął się z działaczami Ligi Narodowej. Pracował w niej i zrywał kontakty — na przemian. Przez kilka lat działało w Krakowie, prowadzone przez niego, prywatne Seminarium Filozofii Narodowej. W roku 1903 patronował założeniu Związku Poczwórnej Wstrzemięźliwości (od alkoholu, tytoniu, swobody seksualnej i gry w karty) pod nazwą „Eleusis". Propagował swoją mesjanistyczną filozofię wśród górników na Śląsku i emigrantów w Westfalii. Wykładał literaturę polską w Londynie.

Ostatnie lata życia spędził w Krakowie, gdzie wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim i gdzie zmarł w roku 1954.

*

Współczesne pokolenie Lutosławskich wyrosło wraz z Polską, żyjąc i pracując w odrodzonej ojczyźnie.

Pokolenie pamiętające stare, dobre czasy nosiło się dumnie i z mądrą tolerancją przyjmowało to, co niósł los. Ostatnia rezydentka na Drozdowie, w czasie wizyty u Władysława Golińskiego, dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW w Łomży, zwróciła mu uwagę, że na jej listy i pisma odpowiadał nawet monarcha hiszpański, król Alfons.

Jak będę alfonsem, to też odpowiem — zadowcipkował urzędnik.

— Carnero! — syknęła dama po hiszpańsku, co oznaczało „baran".

Wśród współczesnych Lutosławskich są inżynierowie, lekarze, prawnicy i robotnicy. Ma ród i dziś swego najznamienitszego: Budowniczego Polski Ludowej, kompozytora światowej sławy — Witolda.

Wszyscy oni należą do tej samej historii. Historii się nie wybiera, ją się po prostu ma.

Opracowała **TERESA POLECKA**

FOT. GABOR LÖRINCZY

historia i dzień dzisiejszy

GENIUS LOCI

wielkie łowy

Tyle złego wygadują i wypisują wszyscy na temat dnia powszedniego i powszednich potrzeb, że bodaj przez przekorę chciałoby się powiedzieć o tym coś dobrego. Bo też każdy medal ma dwie strony, a cała sztuka aby na tę lepszą stronę spoglądać. Wyobraźmy sobie, że znagła odmienia się wszystko. W każdym sklepie dostajemy od razu co tylko nam się wyśni, pieniędzy mamy sporo, rzemieślnik, urzędnik, sprzedawca rozpływają się w uprzejmościach i tak dalej. Słowem jak... no, tu i ówdzie. Innymi słowy załatwiamy wszystko od ręki, właściwie nawet przez telefon, dla zrobienia zakupów nie musimy uciekać z pracy, a dla załatania buta nie łasimy się do szewca i nie musimy mu mówić komplementów. Czy wyobrażacie sobie Państwo jaki to by się zrobił piekielnie nudny świat? Zniknąłby z niego nieomal całkiem element ryzyka, niespodzianki, wielkiej, fascynującej gry, którą dziś toczymy ze światem po kilkadziesiąt razy dziennie. Jakim np. podniecającym zajęciem stały się zakupy! W ujęciu telewizyjnego kabaretu, „Teya" bodaj wygląda to w ten sposób, że się wchodzi i pyta: „Czy jest coś?" Istotnie, nie sposób przewidzieć z góry, co się właściwie dostanie przez co całe zajęcie upodobniło się do polowania, łowienia ryb czy też zbierania grzybów. Jaki grzyb się trafi — licho wie, może być prawdziwek, rydz, a może być także purchawka. Ileż emocji: dziś kawa, jutro może olej, pojutrze — patrzcie, masło, prawdziwe masło przywieźli! Herbatę rzucili!

Jeden sklep to wszakże za mało. Trzeba obejść kilka podobnie jak grzybiarz nie poprzestaje na okolicy jednego tylko drzewa. A więc ćwiczy się zdrowotne marsze, wprawia się w prowadzeniu samochodu lub roweru. A radosna niespodzianka zawsze jest możliwa — przekonałem się, że po objechaniu średnio dwudziestu sklepów — najlepiej w różnych miejscowościach — nawet margarynę udaje się czasem kupić. Ile więc czasu udaje się ciekawie zapełnić bez konieczności czytania, jałowego przesiadywania przed telewizorem lub też — Boże odpuść — pracy. O ileż to doskonalsze niż rozwiązanie amerykańskie polegające na tym, że przez cały tydzień zwyczajnie nudnie i wydajnie się pracuje, a na zakupy są wolne soboty, najbardziej handlowy dzień tygodnia. Jakież to nudne i zgrzebne. Weźmy pod uwagę także i to, że dzięki niejakim brakom w zaopatrzeniu obyczaje stają się u nas zdecydowanie wytworniejsze. Ileż wdzięku musimy w sobie wyrobić, aby wyłudzić od ekspedientki to, co — być może — tai się pod ladą. A język ile na tym korzysta. Ordynarne „kartki", jak mówi zwyczajny motłoch, zastąpiono pięknym określeniem „bilety towarowe", niestety, od paru miesięcy wyraźnie wychodzącym z użycia. Wszyscy mówią już „kartki" a tylko przedstawiciel Ministerstwa Handlu Wewnętrznego przyciskany w telewizji obstawał jeszcze przy jakże eleganckich „biletach". Podobnie zamiast „ceny paskarskie" mówiono „komercyjne" lub — szczyt wytworności — „informacyjne". Jaka szkoda, że ta działalność słowotwórcza jakby się już kończyła. Ale jeszcze tyle szczęścia zostało, że przez długi czas będziemy mieli mnóstwo atrakcji, może tylko odrobinę mniej wytwornych.

Ten podniecający stan rzeczy prowadzi do zjawisk osobliwych. Ponieważ kupuje się nie to, co się chce, ale co jest — rosną w domu zapasy, o których normalnie ani by się pomyślało. Do czasu wprowadzenia kartek na cukier nigdy chyba nie miałem w domu więcej niż kilo. Teraz mam sześć. Nie miewałem więcej niż torebkę mąki, teraz mam trzy. Jeśli mi się uda dostać wędlinę lub mięso to także kupuję więcej niż kiedykolwiek, podobnie jak wszyscy. I pasę oczy obfitością jadła. Słowem życie uzyskało inny wymiar i inną jakość, stało się ciekawsze i bardziej podniecające. Na przekór malkontentom. Więc kończę już to nudne pisanie, bo czas na codzienne łowy. Kto wie, czym mi się dzisiaj los uśmiechnie?

PIOTR KUNCEWICZ

NA PIĘCIOLINII

śmierć wielkich gwiazd

W minionym miesiącu na ulicy Nowego Jorku młody szaleniec oddał kilka śmiertelnych strzałów do Johna Lennona, byłego członka zespołu „The Beatles". Dziesięć lat temu wskutek nadużycia narkotyków, w czasie „podróży" zmarli: Janis Joplin i Jimmi Hendrix. Niemalże wczoraj, nie wytrzymało przepracowane serce Elvisa Presley'a. W swoim własnym basenie utopił się przed kilkoma laty — po zbyt dużej dawce LSD — gitarzysta „The Rolling Stones" Brian Jones. Duane Allman, współtwórca słynnej grupy nazwanej jego nazwiskiem, zginął w czasie wypadku motocyklowego. Na pokładzie własnego samolotu odrzutowego runął do jeziora król muzyki soul, czarnoskóry Otis Redding. Pod kołami pędzącego pociągu poniósł śmierć Zbiegniew Cybulski. Ta ostatnia postać z innej branży, ale to nie ma znaczenia, bo sprawa jest jedna.

Ze śmiercią Lennona zakończyła się epoka nie tylko w muzyce, nie tylko zamknięty został rozdział pn. „The Beatles". W ten sposób zakończył się pewnien rozdział w życiu pokolenia dzisiejszych czterdziestolatków, a więc pokolenia urodzonego tuż po wojnie, którego bunt — ideologicznie ukierunkowany poprzez muzykę w wydaniu „The Beatles" i Boba Dylana — skierowany był przeciw stosunkom społecznym. Prawie wszystkie nazwiska, które wymieniłem na początku, były solą tego buntu, dlatego wraz z ich odejściem odeszła historia powojennych dziesięcioleci.

Jest coś dziwnego w tych śmierciach; jakaś irracjonalna reguła ostatecznego zamykania przebrzmiałych spraw, ideologii, konwencji, wielkich społecznych czy historycznych ruchów. A z drugiej strony nic przecież dziwnego. Codziennie w Nowym Jorku ginie czterech ludzi, w Stanach Zjednoczonych kilkanaście, na całym świecie chyba kilka tysięcy (jeśli wykluczyć małe i wielkie wojny). Każdego dnia biały proszek zabija ileś tam istnień. Dowiadujemy się oczywiście tylko o nielicznych, tych na świeczniku, najpopularniejszych, najbardziej lubianych. Ale przecież one tworzą historię, są filarami spraw, ideologii itd. Ich śmierć powoduje czasem śmierć innych. Po zgonie Presley'a zanotowano kilka samobójstw jego fanatycznych wielbicielek — ten fakt też o czymś świadczy. To chyba nie tylko szaleństwo, ale świadomość, że z odejściem człowieka, który był symbolem czasu, symbolem pokolenia, odeszła moja epoka. Skończył się mój czas. Trzeba zrobić miejsce innym. To smutne i wręcz schizofreniczne, ale znamienne dla pewnych mentalności.

Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego dwudziestopięcioletni szaleniec skierował lufę rewolweru w kierunku Johna Lennona. W pokoju hotelowym mordercy znaleziono płyty i kasety z nagraniami „The Beatles"; słuchał ich przez kilkadziesiąt godzin. Po wysłuchaniu wyszedł na ulicę, poprosił idola o autograf, a potem strzelił. Jedne gazety podają, że wystrzelił pięć kul, inne że siedem, tak jakby to nie było wszystko jedno. Czy strzelił dlatego, że nie podobali mu sie „The Beatles" tylko „Boney M", czy dlatego, że podobali mu się za bardzo i stracił nadzieję na reaktywowanie ich zespołu? Zamachowiec przebywa w szpitalu psychiatrycznym i prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy, jakie były motywacje tego czynu. Strzelił szaleniec, a więc w pewien sposób śmiercią Lennona pokierował przypadek. Czy był to jednak tylko ślepy los?

JAN JANUSZEK

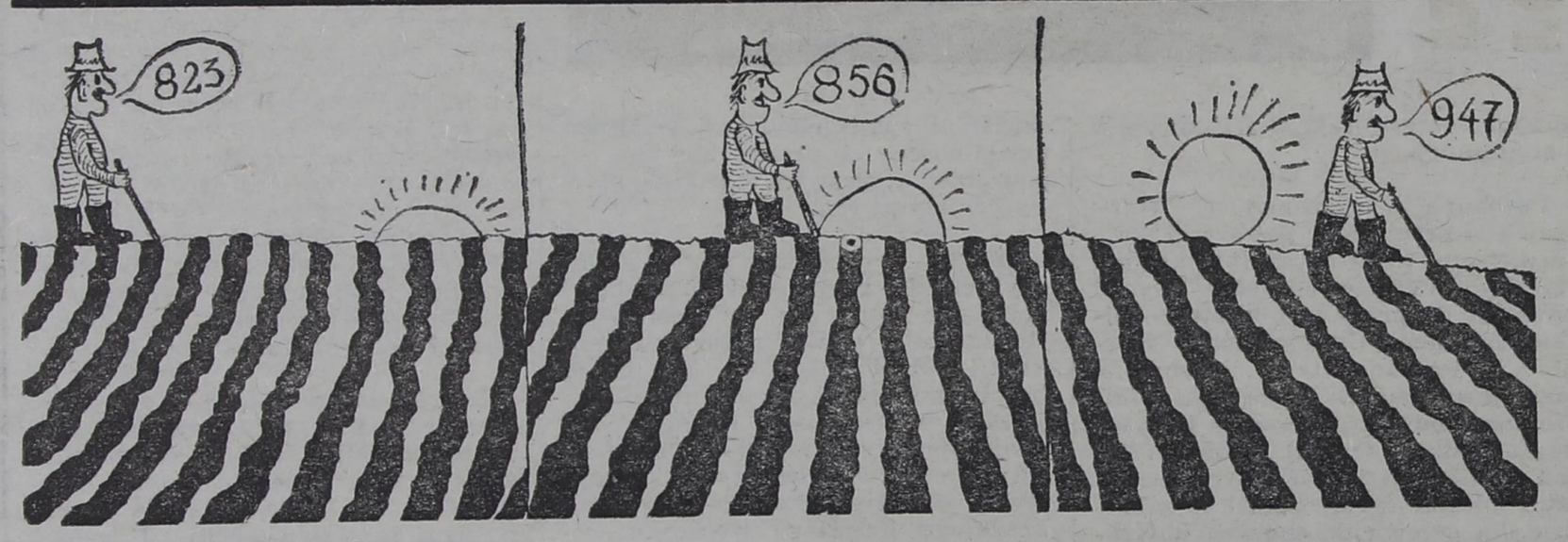

Rysunek WŁADYSŁAWA MŚCICHOWSKIEGO

ZANIM SKOŃCZY SIĘ XX WIEK

wbijanie szpilek

Wielu podróżników relacjonujących swoje wyprawy do egzotycznych krajów, z podziwem opisuje terapeutyczną działalność rozmaitych znachorów, czarowników, szamanów, bosonogich lekarzy itp. Tacy lekarze bez dyplomów Akademii Medycznych są obdarzeni tajemniczą mocą, dzięki której potrafią w pięć minut rozprawić się z absolutnie nieuleczalnie ciężką chorobą, albo przeprowadzić operację chirurgiczną... gołymi rękami i bez przecinania nawet skóry. Ba, niektórzy pisujący podróżnicy na sobie samych doświadczyli pozytywnych skutków takich czarodziejskich kuracji, czym się chwalą przed czytelnikami. Niech nikt nie sądzi, że piszę to w celu natrząsania się z autorów takich opowieści, lub że staram się podważyć wiarygodność ich relacji. Nie mam do nich pretensji nawet, jeśli opisywane wydarzenia podkoloryzowali, ponieważ jestem przekonany, że opisywali to, co widzieli.

Ale właśnie z tym widzeniem sprawa nieprosta. Ileż razy sam widziałem, jak słońce zbliża się ku zachodowi, a w końcu tonie w falach morskich. Oglądało ten widok miliardy ludzi od początków istnienia ludzkości i nikt nie miał wątpliwości, że to słońce krąży nad nieruchomą ziemią i że na noc ukrywa się za horyzontem. Widzimy to samo i my, ale od czasów Kopernika inaczej to interpretujemy. Rzecz w tym, że podróżujący reporterzy nie są Kopernikami, nie są też badaczami w dyscyplinach medycznych, ba — nawet nie są lekarzami; ich interpretacja nie może więc być inna niż prostoduszna.

A tymczasem nie trzeba jeździć do egzotycznych krajów, aby zobaczyć widok podobny. Oto staje w szeregu dwudziestu młodych, zdrowych ludzi, którzy się ochotniczo zgłosili do eksperymentu, niewinnego zresztą. Zazwyczaj bywają to żołnierze lub studenci. Każdemu z ochotników eksperymentator podaje do wypicia szklaneczkę zielonkawego płynu. Piją — i po kilkudziesięciu sekundach wszyscy jak jeden mąż dostają torsji. Wymiotują potężnie, nie wiedząc tego, co wie eksperymentator. A mianowicie, że w dziesięciu szklaneczkach był silny środek wymiotny, ale w dziesięciu innych odpowiednio zabarwiona woda destylowana... Taki niby — lek nosi w medycznym języku nazwę placebo.

W pierwszej połowie przypadków torsje były wynikiem działania środka wymiotnego, w drugiej zaś połowie — wynikiem przeświadczenia, że wypity płyn był środkiem wymiotnym, czyli oddziaływaniem celowo stworzonej sytuacji na psychikę pacjenta. Leczenie magiczne jest takim właśnie działaniem — i bardzo często osiąga wręcz znakomity skutek. Zwłaszcza w schorzeniach dotyczących w większej mierze psychiki (psyche) niż ciała (soma), bo pamiętać należy, że choroba jest zjawiskiem psychosomatycznym. Warto tu jeszcze dodać, że najczęściej bywa to działanie skojarzone z obiektywnym oddziaływaniem leków (na ogół ziołowych) stosowanych w medycynie ludowej.

Wiele z tych leków od dawna przyswajała sobie medycyna europejska. Z dalekich Chin sprowadzono korzeń barbarzyńców — radix barbarorum (mówiąc nawiasem jest to po prostu korzeń rabarbaru!) czy z Egiptu olej rycynowy — oba o podobnym działaniu. Rzadziej importowano metody terapeutyczne, ale i to się zdarzało. Ostatnimi zaś laty wielką europejską karierę zrobiła importowana z tego samego kraju co radix barbarorum metoda akupunktury.

Przy pomocy wbijania pacjentowi igieł to tu, to tam chińscy bosonodzy lekarze od tysiącleci leczą rozmaite choroby z najcięższymi włącznie. W Europie i Ameryce Północnej akupunkturą nie leczy się wprawdzie ani gruźlicy, ani raka, ani zawału serca, lecz wypróbowuje się ją jako obiecującą (bo nie angażującą nieobojętnych dla organizmu środków farmakologicznych) metodą znieczulenia. W związku z tymi próbami wielu europejskich lekarzy odwiedzało Chiny, aby zapoznać się z tą metodą u źródła. Oglądali tam m.in. operacje na otwartym sercu, przy których anestezjolog posługiwał się wyłącznie igłami wbijanymi w ciało pacjenta, przy czym ów pacjent nie tylko nie zdradzał objawów bólu, ale przyglądającym się cudzoziemcom recytował urywki dzieł Mao z tzw. Czerwonej Książeczki.

Obecnie jednak, kiedy Czerwona Książeczka przestaje być w Chinach cytowana dwaj wybitni chińscy medycy, profesorowie Geng Xichen i Tao Naihuang (jeśli wierzyć brytyjskiemu „The Times", który podał tę wiadomość), opublikowali w szanghajskiej gazecie „Wenhuipao" artykuł, w którym twierdzą, że niektórych pacjntów demonstrowanych europejskim lekarzom, zmuszano do udziału w takich pokazówkach. Czuli oni ból — ale zabraniano im pokazywania go i zmuszano do wykrzykiwania cytatów...

Nie chciałbym być posądzony o aprioryczne dyskredytowanie akupunktury znajdującej się w stadium prób. Tym bardziej, że wiele wskazuje na skuteczność znieczulania tą metodą przy zastosowaniu b. słabych prądów elektrycznych (co jest istotnym uzupełnieniem tej starej metody). Zresztą, jestem zdania, że żadna z metod medycyny ludowej, a zwłaszcza mająca za sobą tysiące lat stosowania nie zasługuje na lekceważenie bez dokładnego zbadania.

O artykule chińskich profesorów wspominam więc z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, aby uświadomić hipondrykom, że modna akupunktura niekoniecznie „jest dobra na wszystko". Po drugie — już w aspekcie nie tyle medycznym, co zdroworozsądkowym — abyśmy nie byli skłonni do recytowania urywków czyichkolwiek dzieł, choćby nam wbijano szpilki.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

reflektuje

brat naszego Boga

KAROL WOJTYŁA

WSTĘP

Będzie to próba przeniknięcia człowieka. Sama postać jest ściśle historyczna. Niemniej pomiędzy postacią a próbą jej przeniknięcia przebiega pasmo dla historii niedostępne. W ogóle bowiem człowiek ma to do siebie, że niepodobna go wyczerpać historycznie. Pierwiastek pozahistoryczny w nim tkwi, owszem leży u źródeł jego człowieczeństwa. Próba zaś przeniknięcia człowieka łączy się z sięganiem do tych źródeł.

Przypuszczam, że to sięganie, o ile ma się łączyć z pewnym uwolnieniem od szczegółów historycznych, pozostawi niejedno do życzenia. Zawsze bowiem uwagę naszą musi przykuć fakt. Fakt człowieczeństwa — i to konkretnego człowieczeństwa: założyliśmy, że taki fakt nie jest już wyłącznie historyczny.

W tym fakcie osadza się niniejsze studium. Nad nim pochyla się z troskliwą wnikliwością. Może jednak mimo tego się myli? Bardzo możliwe. Wychodząc bowiem z powyżej wskazanych założeń, nie spodziewa się, aby dotarło dalej niż do pewnej postaci prawdopodobieństwa. Prawdopodobieństwo jednak jest zawsze wyrazem prawdy poszukiwanej: chodzi jedynie o to, jak wiele zawiera w sobie prawdy rzeczywistej. To zaś zależy od natężenia i uczciwości poszukiwań.

W tym też właśnie miejscu znajdujemy się w bezpośredniej bliskości naszego bohatera. Postać jego opiera się w świadomości każdego z nas o bogate tło, w pełni nasycone wieloraką rzeczywistością. Tym to właśnie kręgiem rzeczywistości łączy się on z nami, przez nią staje się nam bliski i potrzebny. To też nakazuje sięgnąć do konkretnych zasobów jego człowieczeństwa, aby odnaleźć w nich ten szczególny błysk na ciemnym tle tej rzeczywistości, przez którą łączy się on z nami.

O ile zdołamy odsłonić ten błysk, utrwalając go równocześnie w dostępnych surowcach wyrazu? Sądzę, że o tyle, o ile umiemy uczestniczyć w tej samej wielorakiej rzeczywistości, w której on uczestniczył — i w sposób do niego zbliżony.

PRACOWNIA PRZEZNACZEŃ

W dalszym ciągu okaże się położenie i rozmiar tego miejsca. Ludzie, którzy przez nie się przesuną, stanowią mimo wszystko zespół zapamiętany w historii. Najważniejsze jednak są ich przeznaczenia. Rozwój ich przeznaczeń.

(Ci dwaj, którzy w tej chwili prowadzą rozmowę, utrzymują się ciągle raczej w bliższej i lepiej oświetlonej części pracowni)

MAKS: Dzienniki piszą już o twojej wystawie.

STANISŁAW: Właśnie, widziałem dziś rano.

— Na mój rozum powinni cię ściąć.

— Spodziewam się...

— Idziesz zbyt na przekór wszystkim. Tak nie można.

— Czy zastanawiałeś się kiedy, Maks, że to, co my przeobrażamy poza sobą, jest znikome, jest śmiesznie małe. Właściwie tylko staramy się uchwycić, czy też raczej podchwycić (no, rozumiesz) i przerzucić poza siebie jakieś nieoczekiwane widzenia własnego ja, przeobrażonego powoli i z nagła świadomego swoich przeobrażeń. Potem ludzie przychodzą, zajmują się dziełem sztuki, właściwie poprzez nią bawią się człowiekiem, który tak potrafi zmieniać swą skórę, jak kameleon. Jest im to potrzebne. Oznacza dla nich wyjść poza siebie. Kosztuje ich to zresztą wcale niewiele.

— Raczej zazdroszczą ci takiego punktu widzenia. Masz wcale wysokie pojęcie o swoich widzach. Przyznam się, że mnie byłoby dość trudno zdobyć się na coś podobnego.

— Więc na co...

— Chcesz może zapytać, na co w ogóle tworzę. No, w każdym razie nie dla widzów.

— Nie odważyłbym się aż tak wymierzyć pytania. A jednak pozostaje mimo wszystko pewien stosunek, pewne odniesienie, pewne posłannictwo społeczne.

— To rozpuść na palecie, pociągnij olejem i zalep plastrem. Może jeszcze słówko o odpowiedzialności..

— A myślę, że owszem.

— Przepraszam, o jak wysokiej odpowiedzialności?

— O jak wysokiej?... Na to ci nie odpowiem, Maks. Sądzę, że to sprawa zbyt osobista. Prócz tego znamy się zbyt dobrze i nie myślę stroić przed tobą żadnych póz.

— A więc, o jak szerokiej?

— Na to pytanie ci odpowiem. Tak jest. Jestem przekonany o posłannictwie sztuki.

— I cóż za posłannictwo? Od oczu do pędzla. Nie chcę jej przez to porównać z jakimkolwiek rzemiosłem. O, nie. Bezwzględnie. Ale nie trzeba przesadzać. Warta tyle, że mnie pobudza, daje mi ten rozpęd, ku któremu się skłania moje właściwe ja. A dzięki temu jest mi sprawdzianem, ile jeszcze można z niego wydobyć. Przecież to jest w końcu wściekle ciekawe, jak własne czyjeś „ja" przebiega, narasta i opada. Ale na tym koniec. Koniec. Czegóż chcesz więcej? I to już ma swoje wystarczające znaczenie. Wokół mnie, w innych?...

— Umniejszasz, umniejszasz, Maks. Bo w rzeczywistości wokół ciebie wyrasta powoli coś, narasta, rozszerza się. Oczywiście ty, chociaż masz w tym swój udział, nie jesteś jednak wyłącznym sprawcą tej tajemnicy. To jasne.

— Mylisz się, Stach. Błąd twój zaczyna się w najbliższym sąsiedztwie twojej sztuki. Czy sądzisz, że wokół niej wyrasta coś więcej ponad krąg błędnych i sprzecznych skojarzeń?

— Nie mówimy oczywiście o koterii..

— Ależ nie mówimy o koterii, nie mówimy o snobach. Mówimy o najuczciwszym w świecie widzu, słuchaczu... Czy sądzisz, że ten obywatel ze Szewskiej lub Nadwiślańskiej, który warzy piwo lub klepie buty czy nawet psuje oczy w foliałach z XIII wieku — że on zdoła odtworzyć w sobie całą prawdę twoich skojarzeń, twego widzenia, twoich napięć?

— Niezależnie od tego.

— Co: niezależnie od tego? Jeśli już niezależnie, to mi nie wyplataj o wpływie, o oddziaływaniu, o posłannictwie, a jeszcze może o odpowiedzialności. Jeśli już niezależnie, to tamto wszystko nie wchodzi w grę.

— Ależ, czepiasz się wyrazów.

— Do pewnego stopnia — słusznie. Jest mi to zresztą jedynie potrzebne do przeprowadzenia mojego dowodu. *(Stanisław chce przerwać)* Czekaj. Niech skończę. Otóż widzisz: jest sobie zbiorowisko, po prostu zbiorowisko atomów, które krążą, każdy w swojej płaszczyźnie i w swoim profilu. Ja też krążę w mojej płaszczyźnie i w moim profilu. Koniec. Co to kogo obchodzi? Zdaje mi się, że zmarniałbym, gdyby się przyszło wśród tego zawrotnego ruchu mego „ja" wciąż liczyć z oddziaływaniem, z wpływami lub jeszcze z odpowiedzialnością.

— A jednak robisz wystawy.

— Zwyczaj. A prócz tego niejaka część naszego „ja" domaga się poklasku.

— Który równocześnie lekceważysz?

— O, tak. W każdym z nas tkwi człowiek wymienny jak pieniądz i człowiek niewymienny, najgłębszy, wiadomy tylko sobie samemu.

— A cóż robisz z owym wymiennym? Przecież nie zbijesz mu fortuny?

— Oczywiście. Niemniej nie zamierzam z nim walczyć. Wystarczy mi prosta świadomość tamtego, który jest niewymienny, i pewna przegroda między jednym a drugim, która w sobie nosze. Inaczej życie stałoby się poziome i głupie.

— A gdybyś jednak walczył z tamtym wymiennym?

— To byłoby nieznośne. Wystarczy posiadać go przez świadomość. I przez świadomość oddzielać go od siebie.

— Ciekawe. Chyba nie zdziwi cię to, Maks, gdy powiem, że od tej rozmowy stajesz się dla mnie dużo mniej tajemniczy.

— Bynajmniej.

(Przez uchylone w głębi drzwi pracowni weszła przed chwilą pani Helena z mężem. Bardzo cicho przesuwają się nie zauważeni od obrazu do obrazu, chwilami przystając obok sztalug. Szepczą coś półgłosem. Widać, że w pracowni tej nie czują się obco. Równocześnie rozmowa Maksa ze Stanisławem skupia w przeciwległym, najbliższym rogu pracowni, tak że zupełnie na razie nie zauważyli gości. Pracownia przy tym jest dość głęboka i o tej godzinie raczej mroczna.)

PANI HELENA: *(od chwili dała się już wciągnąć w rozmowę, ciągle jednak nie zauważona, niespodziewanie)*: Myślę jednak, że pan się myli, Maks. Od razu przepraszam i — dzień dobry panom.

MAKS: Dzień dobry. Państwo tutaj? Pozwoli pani, nasz przyjaciel. Przyjechał wczoraj wieczorem z Monachium na swoją wystawę. *(wymiana ukłonów)*

MĄŻ PANI HELENY: A, to pańska wystawa. Widziałem już dziś rano w dziennikach.

(STANISŁAW wykonuje ponowny ukłon głową)

MAKS *(opanowując niejasne położenie)*: Jak państwo widzicie, lub raczej słyszycie — Stach przywiózł z sobą w serduszku ogromnie wiele ideału, a tymczasem ja, stary wyga i zaprzaniec, zawziąłem się, aby wyrwać to z niego z korzeniami. Ale może państwo nie słyszeliście naszej rozmowy?...

— I owszem, słyszałam. I myślę, że pan się myli, Maks.

— Pani, w takim przypadku nie wolno mi kruszyć kopii. Mam do czynienia z osobą uprzywilejowaną, nietykalną. Od razu ogłaszam swą porażkę.

— Nie dlatego. Dla czego innego. Po prostu: nie jest tak, jak pan twierdzi.

— Daruje pani, ale rzecz jest niezmiernie trudna do ujęcia.

— To, co pan wyznaje, co pan głosi, raczej oznacza oddalenie się od sztuki. Stanowczo.

— A choćby nawet. Czyż nie mam prawa do takich doświadczeń?

— Oczywiście. Ale trudno już przekonywać i dowodzić, gdy doświadczenia nie dopełniło się dotąd.

— Wolno pani tak sądzić.

— O tak. Jestem o tym przekonana jak najgłębiej. Pan może nie zdaje sobie z tego sprawy, Maks. A tutaj w grę wchodzi naprawdę jakaś tajemna wymiana, jakieś wzajemne uczestnictwo.

STANISŁAW *(wtrąca)*: Maks zechce pani od razu przytoczyć, co sądzi o tak zwanej wymianie, a może lepiej: o człowieku wymiennym.

MAKS: Ośmielę się dorzucić, że wchodzi w grę ponadto jeszcze pewna odpowiedzialność!

PANI HELENA: Pan żartuje...

— Ależ nie. W linii rozumowania pani musi właśnie tak być.

— A zatem nie była to złośliwość. Dziękuję panu. Podziwiam, jak bardzo umie pan włączać się w bieg myśli cudzych, *(śmiejąc się)* i pan, i pan równocześnie przeczy temu uczestnictwu, do którego dopuszcza pan innych przez swą twórczość, temu wpływowi, który wywiera pan na ich życie.

— I ja, i ja równocześnie przeczę temu wpływowi i temu uczestnictwu, i tej wymianie, pani Heleno.

— A jednak pan tak świetnie umie włączać się i uczestniczyć w sposobie myślenia i czucia bliźnich. I z taką uczciwością...

— Prosta technika obcowania. A prócz tego musi pani wiedzieć, że czyni to człowiek wymienny. Ten zaś nie jest ani najgłębszy, ani najciekawszy. Najciekawszy jest człowiek niewymienny.

STANISŁAW *(przerywa)*: Otóż i wykład gotowy. Mówiłem państwu.

(C.D.N.)

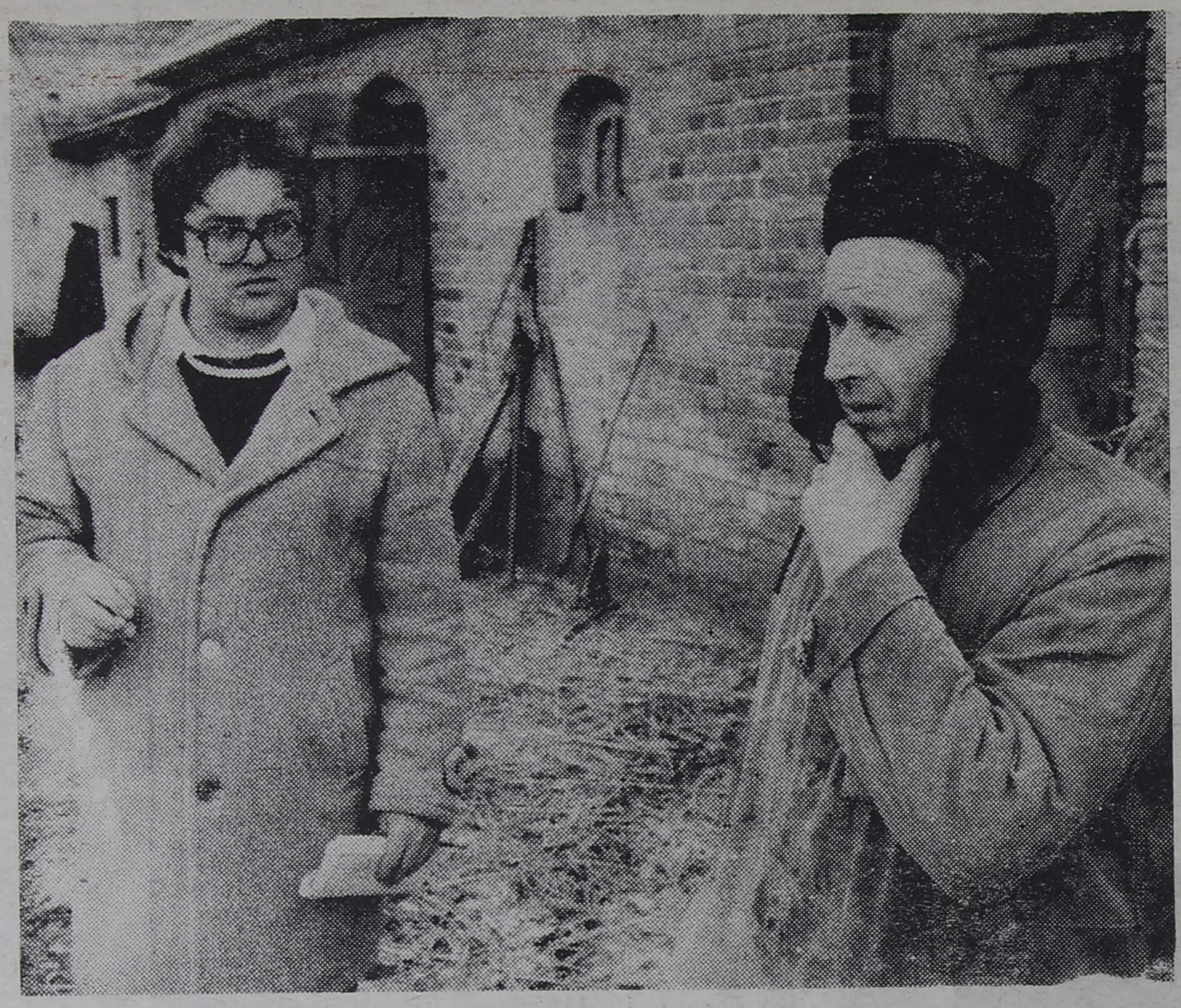

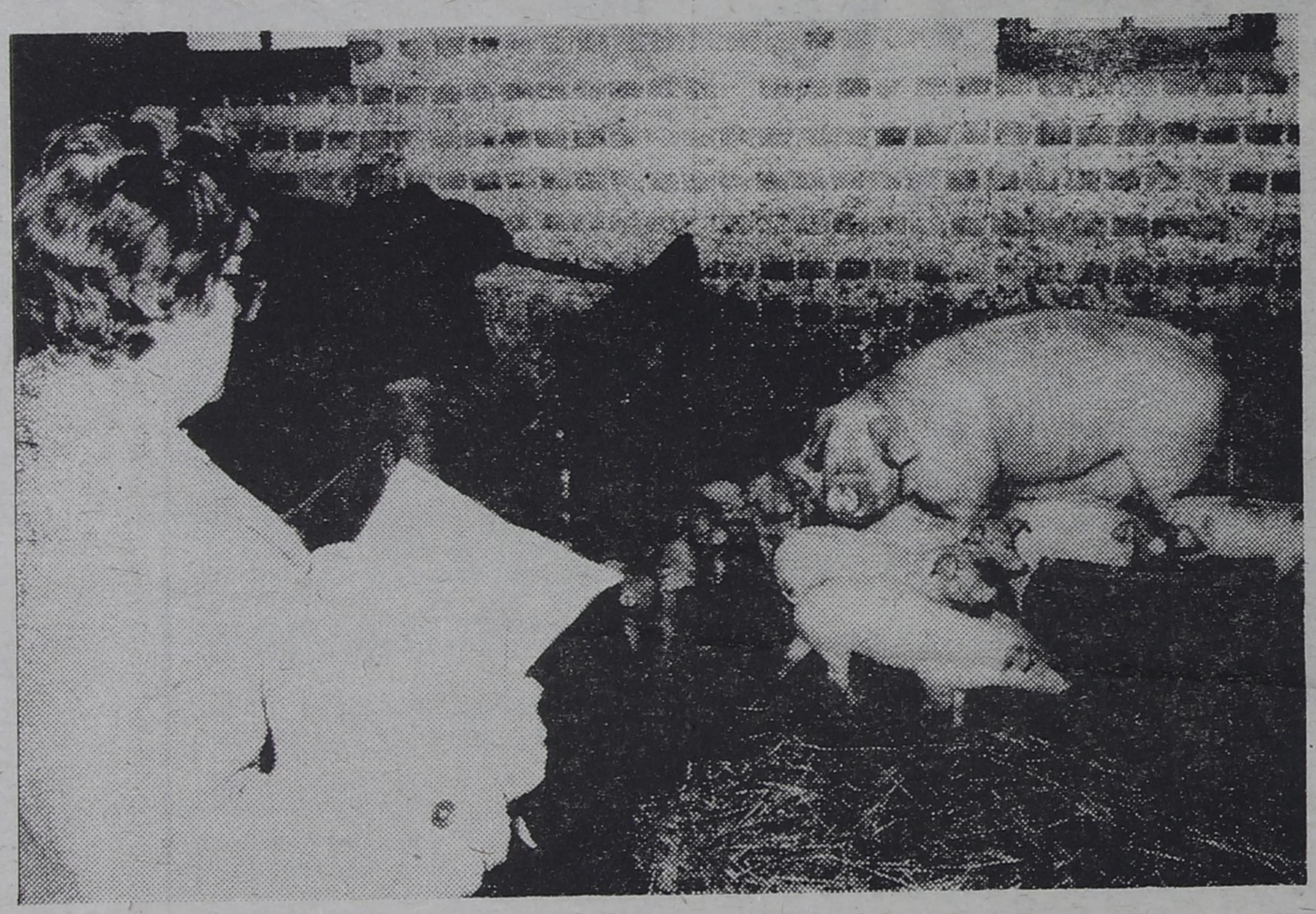

mniej jedzą, mniej piją, a żyją i tyją

(ZE STYCZNIOWEGO SPISU ZWIERZĄT)

fotoreportaż Gabora Lőrinczego

22.01.1981 TV 28.01.1981

CZWARTEK 22 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

9.00. Teleferie najmłodszych oraz film z serii „Wojna Planet" — „Gigantyczna mątwa" (2).
9.55. Język polski, kl. II lic.
12.50. Język polski, kl. IV lic.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.25. „Decyzje piętnastolatków".
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Kino Teleferii: „Opowieść o odważnym Witeziu" (1).
17.30. Magazyn motoryzacyjny.
17.55. „Podchorążowie, armaty, rakiety..." — reportaż wojskowy.
18.20. Telewizja Młodych: „Razem czy osobno".
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Diagnoza".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Ostatnie wakacje" — film sensacyjny.
21.40. Pegaz.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. Piosenki Studia Gama.
22.55. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00. Popołudnie przygody i podróży.
11.10. Sonda.
11.35. Magazyn motoryzacyjny.
16.00. Język rosyjski, lekcja 14.
16.30. Język francuski, lekcja 14.
17.05. Poradnik działkowca.
17.35. Popołudnie przygody i podróży.
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.10. NURT — elementy wiedzy o sztuce:
20.40. NURT — pedagogika.
21.10. NURT — matematyka.
21.40. 24 Godziny.
21.50. Wieczór Filmowy — filmy dokumentalne.
23.00. Język rosyjski, lekcja 14.

PIĄTEK 23 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

9.00. Teleferie, m.in. film z serii „Wojna Planet" — „Demony pustyni".
15.20. NURT — wychowanie estetyczne.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Kino Teleferii: „Fabryka snów" — film animowany Walta Disneya.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
17.20. Giełda — magazyn reklamowy.
17.45. „Pod jednym dachem" (3) — komedia TV CSRS.
18.35. Radzimy rolnikom.
18.45. Dobranoc.
19.00. Telewizja Młodych — „Turniej reporterów".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „U cioci na imieninach" — piosenki Wojciecha Jagielskiego.
21.00. „Salon zwierząt" — zookabaret Leszka Szopy.
21.20. „Listy o gospodarce".
22.00. Dziennik Telewizyjny.
22.15. Teatr Telewizji — Ireneusz Iredyński: — „Maria" w reż. Adama Hanuszkiewicza.

PROGRAM II

10.00. „Pod jednym dachem" (3).
10.50. „Gwiazdozbiór" — Wojciech Pszoniak.
11.35. Klub Jazzowy Studia Gama.
16.00. Język francuski, lekcja 14.
16.30. Język rosyjski, lekcja 14.
17.05. Kino TDC: „Dick Turpin" — „Matka chrzestna".
17.35. Klub Jazzowy Studia Gama.
18.20. Małe Kino.
18.30. Malarstwo Grzegorza Sztabińskiego.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Weronika i inni" (2) — film obyczajowy TV bułgarskiej.
21.25. 24 Godziny.
21.40. „Przechowywać czy wychowywać?"
22.10. „Gwiazdozbiór" — Wojciech Pszoniak.
22.55. Język francuski, lekcja 14.

SOBOTA 24 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

9.00. Teleferie Najmłodszych, m.in. film z serii „Wojna Planet" — „Atak kałamarnic".
15.25. „Warszawa wolna" — wojskowy program historyczny.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Kino Teleferii: „Fabryka snów" z serii Walta Disneya.
16.55. Puchar świata w narciarstwie alpejskim.
17.25. „Kolokwium" — „Z tajemnic pisma".
18.10. „Cygańska nuta" — spotkanie z zespołem „Tylko oni".
18.50. Dobranoc.
19.00. Estrada Folkloru.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Polski Film Telewizyjny: „Dom" (2) — „Zapomnij o mnie".
21.40. „Blisko i daleko" — program reporterów.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.30. „Trzy kroki w szaleństwo" — horror produkcji francusko-włoskiej w reż. R. Vadima, L. Mallera, F. Felliniego.

PROGRAM II

17.00. Spotkania w Dwójce, „Uśmiech spod parasola" — program rozrywkowy.
17.45. „Perypetie wynalazcy" (I) — „Bieriożkow wymyśla koło" (TV ZSRR).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Koncert WOSPRiT.
21.40. „Radości i troski Dominiki" (1) — serial TV francuskiej.
22.35. Poeci recytują wiersze — Tadeusz Cugow-Kwiatkowski.

NIEDZIELA 25 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

7.20. TTR, RTSS — nasze spotkania.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Telewizjada".
9.00. Teleferie, m.in. „Wojna Planet" — „Najlepszy przyjaciel załogi G".
10.20. Antena.
10.45. „Majowie — 1000 lat niezwykłej kultury".
11.35. Reportaż filmowy.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
12.20. „Gdy się powiedziało A..." — program Redakcji Rolnej.
12.50. „Z kamerą wśród zwierząt".
13.15. Tylko w Niedzielę.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Anna Karenina" (I) — prod. angielskiej.

PROGRAM II

9.00. „Krótkofalowcy" — program wojskowy.
9.30. „Dom" (2) — „Zapomnij o mnie".
Spotkania w Dwójce
10.55. Przeboje tygodnia.
11.55. Film dokumentalny.
12.25. Program rozrywkowy.
13.10. „Twórca i jego dzieło" — Lux Sonora.
14.05. Sergiusz Rachmaninow: III Koncert fortepianowy.
15.05. Sportowy Magazyn Sprawozdawczy.
16.20. Film fabularny.
17.55. Teatr Poniedziałkowy — Enn Vetemaa: „Pomnik" w reż. Andrzeja Kotkowskiego.
19.10. Przemówienie Ambasadora Indii.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Operowe qui pro quo.
21.30. „Człowiek z toporem" — dramat społeczno-obyczajowy produkcji indyjskiej.

PONIEDZIAŁEK 26 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

9.00. Teleferie, m.in. „Wojna Planet".
15.20. NURT — pedagogika.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Kino Teleferii: „Fabryka snów" z filmoteki Walta Disneya.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
17.15. „Czterej pancerni i pies" (2).
18.00. „Krok po kroku" — program publicystyczny.
18.40. Rolnicze rozmowy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa Stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji „Wojna w Polszcze pospolita" w reż. Henryka Kluby.
21.30. „Akaba — morskie wrota Jordanii" — publicystyka międzynarodowa.
21.50. Program rozrywkowy.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. Zacznijmy od Mony Lizy".

PROGRAM II

10.00. „Finlandia na co dzień" — film dokumentalny.
10.25. „Szklany pałac" — film dokumentalny.
10.40. Gwiazdy fińskiej estrady.
11.00. „Dzień wczorajszy jak z obrazka" — fiński film fabularny.
11.40. „Marzenia letniej nocy" — na gitarze gra Francis Goya.
16.10. Język niemiecki, lekcja 15.
16.30. Język angielski, lekcja 8.
17.10. „Finlandia na co dzień" — film dokumentalny.
17.30. „W świecie kolorów" — film o projektantce tkanin artystycznych.
17.50. Gość Dnia Fińskiego w TVP.
18.00. „Szklany pałac" — film twórcy szkła artystycznego.
18.15. Gość Dnia.
18.25. „Kamienny renifer" — film animowany dla dzieci.
18.50. Gwiazdy fińskiej estrady.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Kierunek: pokój" — film dokumentalny.
20.35. Gość Dnia.
20.45. „Berghamn — zapomniana wyspa" — film dokumentalny.
21.25. Gość Dnia.
21.30. „Villa Mairea" — film dokumentalny.
21.50. Gość Dnia.
22.05. „Dzień wczorajszy jak z obrazka" — fiński film fabularny.
22.50. „Marzenia letniej nocy" — na gitarze gra Francis Goya.
23.00. Język niemiecki, lekcja 15.

WTOREK 27 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

9.00. Język polski, kl. I lic.
9.35. Teleferie, m.in. „Wojna Planet".
12.50. Rodzina współczesna, kl. I—II lic.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.55. Interstudio.
17.20. Telewizja Młodych: CDN.
18.00. „Struś pędziwiatr".
18.20. „Opisanie świata" — reportaż filmowy.
18.40. Polska Kronika Filmowa.
18.50. Dobranoc.
19.00. Lekarz radzi — „Serce dziecka".
19.10. „Skojarzenia" — teleturniej.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Martin Luter King" (3).
21.40. „Prawdę mówiąc".
22.20. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Proscenium — magazyn teatralny.
23.20. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00. Szkiełko i Oko — magazyn popularnonaukowy.
11.05. „Skojarzenia" — teleturniej.
11.25. Lekarz radzi — „Serce dziecka".
11.35. Dom i My.
11.55. Album wierszy polskich.
15.55. Język angielski, lekcja 15.
16.25. Język niemiecki, lekcja 15.
16.50. Dla młodych widzów: „Cała naprzód".
17.20. Sekrety Kina.
18.00. Szkiełko i Oko — magazyn popularnonaukowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Bez recept — „Co nam daje matka".
21.50. Filmy Andrzeja Wajdy: „Polowanie na muchy".
23.30. Język angielski, lekcja 8.

ŚRODA 28 STYCZNIA 1981 R.

PROGRAM I

9.00. Teleferie, m.in. „Wojna Planet".
14.00. Bilans paszowy, cz. II.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.20. NURT — matematyka.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Kino Teleferii — „Fabryka snów" z filmoteki Walta Disneya.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
17.30. Dom i My — magazyn reklamowy.
17.50. Turystyka i Wypoczynek.
18.20. Program publicystyczny.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata — magazyn muzyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Gdzie woda czysta i trawa zielona" film fabularny w reż. Bogdana Poręby.
22.15. „Podróż sentymentalna" — w 95 rocznicę urodzin Artura Rubinsteina.
23.00. Dziennik Telewizyjny.
23.15. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00. „Nie porzucajcie tych, których kochacie" — film obyczajowy.
11.20. „Podróż sentymentalna".
12.05. Turystyka i Wypoczynek.
12.35. Antykwariat — „Listy sławnych mężów".
15.50. Język angielski, lekcja 8.
16.20. Język angielski, lekcja 15.
16.55. Program morski.
17.45. „Nie porzucajcie tych, których kochacie".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Antykwariat — „Listy sławnych mężów".
20.40. Album wierszy polskich — Mikołaj Rej.
21.10. 24 Godziny.
21.20. „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny".
22.10. Teatr Wspomnień (1966) — Sławomir Mrożek: — „Dwie humoreski o stosunku do zwierząt".
23.10. Język angielski, lekcja 15.

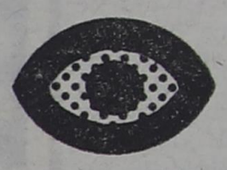

Łomża, kino „Październik": 22—24 I — „Ucieczka na Atenę", prod. ang. (od lat 15); 25—27 I — „Boska Emma", prod. CSRS (od lat 15); 28—30 I — „Konie Valdeza", prod. włosk. (od lat 15).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 22—23 I — „Ślady", prod. włosk. (od lat 15); 24—25 I — „Lipcowe spotkanie", prod. CSRS (od lat 15); 27—28 I — „Sanchez i jego dzieci", prod. meksyk. (od lat 15).

Grajewo, kino „Relaks": 22—23 I — „Powrót do domu", prod. USA (od lat 15); 24—25 I — „Lokator", prod. franc. (od lat 18); 26—28 I — „Panowie dbajcie o żony", prod. franc. (bez ograniczeń).

Jedwabne, kino „Oaza": 22 I — „Przygoda arabska", prod. ang. (bez ograniczeń); 24—25 I — „Pełnia", prod. pol. (od lat 15); 28—29 I — „F.I.S.T.", prod. USA (od lat 18).

Kolno, kino „Wrzos": 22—23 I — „Cenny depozyt", prod. franc. (od lat 12); 24—25 I — „Prom do Szwecji", prod. pol. (od lat 15); 26—28 I — „Lot nad kukułczym gniazdem", prod. USA (od lat 18).

Nowogród, kino „Ziemowit": 24—25 I — „Skradziona kolekcja", prod. pol. (od lat 12); 27—28 I — „Jajo węża", prod. RFN (od lat 18).

Stawiski, kino „Saturn": 22—23 I — „Ostatni z Fleksnesów", prod. norwes. (od lat 15); 24—25 I — „Hotel klasy lux", prod. pol. (od lat 15); 27—28 I — „Przybywa jeździec", prod. USA (od lat 15).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 22—23 I — „Proces poszlakowy", prod. jap. (od lat 18); 24—25 I — „Rocky II", prod. USA (od lat 15); 27—28 I — „Długi weekend", prod. hiszp. (od lat 15).

Zambrów, kino „Kosmos": 22—23 I — „Konie Valdeza", prod. włos. (od lat 15); 24—25 I — „Czy zabiła", prod. franc. (od lat 15); 26—28 I — „Smak wody", prod. pol. (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych): we wtorki i czwartki w godz. 11.00—18.00, w środy, piątki i soboty w godz. 10.00—15.00, w niedziele w godz. 11.00—15.00. **Wystawy:** „Rzeźba i tkanina Kurpiowskiej Puszczy Zielonej" — ekspozycja tkanin dekoracyjnych i rzeźb u okresu od II połowy XIX wieku do współczesności, a także dekoracyjnych wyrobów snycerskich i fragmentów tkanin ubraniowych, ze zbiorów własnych, kolekcji Stanisława Pardo z Turośli i Muzeum Okręgowego w Ostrołęce „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. **Wystawy:** 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodółka ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 8.00—16.00 w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. **Wystawy stałe:** 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. **Wystawa czasowa:** „Ludzie i zwierzęta" — pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci.

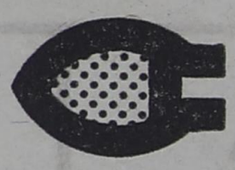

Galeria Jednej Fotografii, ul. Mariana Buczka 17 (witryna kwiaciarni „Mimoza"): Stanisław Lesiak — „Nogi".

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 — Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: wystawa prac plastycznych dzieci z Ogniska Pracy Pozaszkolnej w Łomży.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa grafiki artysty-plastyka ze Słupska, Andrzeja Szczepłockiego (czynna od 24 I).

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży; „Bawimy się wesoło" — gry i zabawy dla dzieci (w klubie), 22 I, godz. 15.00; „Śluby panieńskie" Aleksandra Fredry — spektakl Teatru im. Aleksandra Węgierki z Białegostoku, 22 I, godz. 19.00; „W kręgu plastyki" — zajęcia dla dzieci (w pracowni), 23 i 27 I, godz. 11.00; „O smoku, królu Gwoździku, pięknej królewnie i dzielnym szewczyku" — spektakl Teatrzyku Lalki z Grądów-Woniecka, 23 I, godz. 13.00; spektakl Teatru Lalki z WSP w Olsztynie, 24 I, godz. 11.00; zajęcia rytmiczne dla dzieci (w sali baletowej), 26 I, godz. 11.00; „Spotkanie z bajką" (w klubie), 26 i 28 I, godz. 15.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: impreza z okazji Dnia Babci, 23 I, godz. 16.00; „Mikrofon dla wszystkich" — impreza klubowa, 26 I, godz. 16.00; występ teatrzyku kukiełkowego, 28 I, godz. 11.00.

Świetlica Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży, ul. Wiejska 3: konkurs plastyczny „Moje ferie", 23 I, godz. 11.00; turniej warcabowy, 27 I, godz. 11.00.

Świetlica Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży, ul. Świerczewskiego 7b: filmowy wieczór bajek, 22 I, godz. 16.30; spotkanie z Zygmuntem Kęstowiczem i psem Pankracym — impreza dla dzieci, 24 I, godz. 15.00; turniej tenisa stołowego, 27 I, godz. 11.00.

Klub „Bonar" w Łomży: spotkanie z Zygmuntem Kęstowiczem i psem Pankracym — impreza dla dzieci, 24 I, godz. 17.00.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna: koncert w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Grajewie, 22 I, godz. 17.30; koncert w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży, 23 I, godz. 19.00. Dyryguje Henryk Szwedo. Soliści: Grażyna Brodzińska i Mariusz Cellari — śpiew. W programie — popularne melodie z operetek i musicali.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.

Ogłoszenia drobne

Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury" Olsztyn 2, skrytka 336.

Łk 4922-0

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Gizelbach Wiesław Kołowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Lech Zbigniew Henczel, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński Fotoreporter — Gabor Lőrinczy Redaktor techniczny — Koziara, Klemens Korekta — Elżbieta Słupska. **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Henryk Kin, Andrzej Krzyżagórski, Tadeusz Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski, Mieczysław Wodzicki. **KONCEPCJA GRAFICZNA:** — Marek Goebel **ADRES REDAKCJI:** ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, tel. 34-95, 40-22 telex — 853249 **WYDAWCA:** RSW „Prasa—Książka—Ruch" Oddział Kombinat Druk. Białostockie Zakłady Graficzne, zam. 74/81. Nakład 19.800 A-2 PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje: **Biuro Reklam** i Ogłoszeń Red tyg. „Kontakty". 18-400 Łomża ul. Sadowa 10, tel 34-95 i 40-22 oraz wszystkie biura RSW „Prasa—Książka—Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Biebrzański, Bużański i Narwiański, częściowo niezależnie i trochę samorządne — mimo spóźnionego nieco terminu — w dalszym ciągu świętują uroczystości noworoczne. Na krzach i mamorach rozsypane confetii imitują śnieg, tu i ówdzie walają się serpentyny, strzępy kolorowych baloników „Eros-de gum" itp.

DOJLICKI: Pozwólcie, drodzy koledzy, jeszcze raz złożyć wam i sobie najserdeczniejsze życzenia — oby i jak, a co się w centrali dzieje, diabli wzięli!

BUŻAŃSKI *(skonsternowany)*: A to niby czemu, jeśli łaska?

DOJLICKI: A to niby temu, że jak nas tam wezmą, to pójdziemy do centrali.

BIEBRZAŃSKI: Mnie się tam specjalnie nie spieszy. Siedzi sobie diabeł na prowincji, nieźle mu się wiedzie, mniej więcej wiadomo — co i jak, a co się w centrali dzieje, diabli wiedzą.

NARWIAŃSKI: Zgadzam się z powyższym zdaniem. U nas mimo wszystko bezpieczniej.

DOJLICKI: Może i bezpieczniej, ale wytycznych nie mamy. Dyrektyw za mało, nawet wskaźników ma zacząć ubywać.

BIEBRZAŃSKI: Ja tam bez wskaźników i dyrektyw, żeby było po nowemu, ale i bez zmian. Przed świętami, dajmy na to, u siebie, w Goniądzu oczywiście, zgnoiłem 60 kilogramów mięsa klasy ekstra wyborowej.

BUŻAŃSKI: A niby w jaki sposób? Much robacznic żeście do sklepu nawpuszczali?

BIEBRZAŃSKI: Szczegóły wyświetli prokurator. Ja powiem wam tylko tyle, że w sklepie goniądzkiej masarni na hakach nie było ani grama mięsa, a na zapleczu wzięło się i zaśmiardło. Takie to cuda!

DOJLICKI: Gratuluję wam, kolego. Róbcie tak dalej. Co jeszcze zasmrodzicie?

BIEBRZAŃSKI: Pragnę złożyć zapewnienie, że w ramach powierzonych obowiązków będę robił wszystko, iżby piekło nie miało ze mnie wstydu. Co zaś się tyczy konkretów, to — szczerze mówiąc — jeszcze nie wiem. Może jakiś rybak skrzynkę leszcza do sklepu rybnego wrzuci, to ja wtedy ciach i przyśmierdzę. Nie dopuszczę, żeby ludziom normalnie sprzedać. Podobnie zresztą, jak uczyniłem z wigilijnymi śledziami. Jednemu otóż z wyższych urzędników uspołecznionych kazałem 30 kilogramów z Goniądza wywieźć do Łomży. Na diabła ludziom w Goniądzu śledzie? Rzekę mają pod bokiem, co drugi kłusuje, uklejek mogą sobie nałapać, zasolić i — smacznego!

NARWIAŃSKI: Nie widzę ja powodów do chwalby. Gdzie nie spojrzeć, tam kwitnie handel spod lady. Ja, na ten przykład, wprowadziłem ścisłą reglamentację sprzedaży materiałów pędnych w łomżyńskiej stacji benzynowej przy ul. Wiejskiej. Na tablicy ogłoszeń wisi ogłoszenie, że benzynę możesz kupić do godziny 22.00, a przy okienku stacyjnika specjalnego, czyli ajenta sprowadzonego aż z Białegostoku, wisi drugie ogłoszenie z informacją, że benzyna tylko do 20.00. Jak się specjaliście ajentowi spodoba, to ci sprzeda, a jak nie, to nie. Miejscowi kierowcy znają zwyczaje stacyjnika, ale przyjezdni tracą nerwy i nadzieję na zatankowanie pojazdu, a o to przecież chodzi, nie?

DOJLICKI: W powyższym przypadku część sławy i na mnie przecież spada.

NARWIAŃSKI: A to jakim cudem?

DOJLICKI: Sami żeście powiedzieli, że stacyjnik białostocki prawda?

NARWIAŃSKI: Niby racja.

BUŻAŃSKI: Wpędzacie mnie, koledzy, w kompleksy. W nowym roku niczego jeszcze nie wydumałem, a i końcówka starego jakby lichowata. Niczego ostatnio nie mogę wykombinować.

NARWIAŃSKI: Nie martwcie się, kolego. Radzę wam zajechać do Ciechanowca. Stańcie na rynku, rozejrzyjcie się trochę, posłuchajcie, co ludzie mówią, tu wetknijcie kijek, a tam patyczek, i zobaczycie, co z tego wyjdzie. Naród zamieszkuje tam krewki, przeambitny. Wystarczy tylko dźgnąć umiejętnie, a jeden drugiemu sam oczy wydrapie.

DOJLICKI: No to nasze zdrowie, koledzy! Abyśmy w nowym roku dotrzymali kroku.

BIEBRZAŃSKI: Mimo wszystko przyszłość przed nami!

Diabły smętnie zaglądają do pustych czegoś kubków. Piekielny przemysł smołówkowy — wykonawszy plany przed terminem w 207,4 proc. — wyczerpał cały surowiec i teraz chwilowo obniżył loty. Miejmy nadzieję, że jednak nie na długo.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

CARMILLA

Nagle ujrzałam, że koło nóg łóżka porusza się coś, czego w pierwszej chwili nie mogłam rozpoznać. Wkrótce jednak dostrzegłam, że jest to czarne jak sadza zwierzę, podobne do olbrzymiego kota. Wydało mi się, że jest długie na cztery do pięciu stóp — w pewnej chwili przesłoniło cały dywanik przed kominkiem. Chodziło z kąta w kąt, ze złowrogim niepokojem zwierzęcia w klatce. Nie mogłam dobyć głosu, by krzyknąć, choć możecie sobie wyobrazić, jak byłam przerażona. Stworzenie przyspieszyło kroku, a w pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej, tak ciemno, że na koniec widziałam tylko jego ślepia. Poczułam, że lekkim skokiem znalazło się na łóżku. Ogromne oczy zbliżyły się ku mej twarzy i nagle uczułam piekący ból, jakby dwie wielkie igły, o cal czy dwa od siebie odległe, głęboko wbiły mi się w pierś. Obudziłam się z krzykiem. W pokoju było jasno, a świeca paliła się tak jak przez całą noc. W nogach łoża, nieco na prawo, ujrzałam kobiecą postać w ciemnej, luźnej szacie, z rozpuszczonymi na ramiona włosami. Stała jak wykuta z kamienia, bez śladu oddechu. Gdy patrzyłam tak na nią, wydało mi się, że postać zmieniła miejsce: była teraz bliżej drzwi, po chwili tuż przy nich — drzwi otwarły się i postać zniknęła [...]

Nazajutrz dopełniono w kaplicy Karnsteinów urzędowego aktu. Grobowiec hrabianki Mircalli został otwarty. Gdy generał i mój ojciec ujrzeli jej twarz, obaj rozpoznali w niej piękną i podstępną młodą dziewczynę, którą gościli. Choć od pogrzebu Mircalli minęło sto pięćdziesiąt lat, oblicze jej zachowało kolory życia. Leżała z otwartymi oczyma, z trumny nie wydobywał się trupi odór. Dwaj medycy, jeden urzędowy, drugi z ramienia generała, który wszczął dochodzenie, potwierdzili fakt niezwykły, a mianowicie, że wyczuć się dało słaby, niemniej wyraźny oddech i równie słabą, lecz wyraźną pracę serca. Członki zachowały swą giętkość, ciało było jędrne. Ołowiana trumna pełna była krwi, w której zwłoki zanurzone były na siedem cali. Wszystko to stanowiło oznaki i dowody wampiryzmu. Zgodnie ze starodawnym obyczajem wyjęto ciało z trumny i w serce wampira wbito ostro zaciosany kołek; w tym momencie dał się słyszeć przeszywający krzyk, jakby wydobył się z ust umierającego. Następnie została odcięta głowa; z szyi trysnął strumień krwi. I ciało, i głowa, umieszczone na stosie drewna, spalone zostały na popiół, ten zaś wrzucony do rzeki i uniesiony w dal. Od tego czasu nigdy już okolicy tej nie nawiedził żaden wampir.

(Joseph Sheridan le Fanu „Carmilla")

PATRZĄC NA RĘCE

DODAJE SIŁ LINII ŻYCIA

Przepaska Wenery (A) biegnie nad linią serca u podstaw palców: środkowego i serdecznego. Na ręce wątłej przepaska oznacza histerię i zaburzenia nerwowe na tle seksualnym. Na ręce silnej — skłonność do refleksji.

Linia żywotności (B) — równoległa do linii życia, biegnie bliżej kciuka. Dodaje sił linii życia.

Obrączka Salomona (C) — u nasady palca wskazującego — oznacza silne życie uczuciowe, moc psychiczną a nawet zdolność jasnowidzenia.

Obrączka Saturna (D) — u nasady środkowego palca — znamionuje osobników niezrównoważonych.

Linie bransoletowe (E), zwane również — smoczymi, znajdują się na przegubie dłoni. Interpretuje się je jako znak długowieczności — każda oznacza 30 lat życia. Potrójne bransolety to bogactwo, zdrowie i wszelka pomyślność, ale niestety chiromanci zawodowi nie traktują smoczych linii zbyt poważnie.

Linie podróży (F) są to niewielkie horyzontalne linie blisko zewnętrznej krawędzi dłoni. Od ich ilości zależy ilość podróży.

Linia intuicji (G), biegnąca łukiem od nasady małego palca w kierunku przegubu, występuje rzadko, ale jeśli już jest — możesz wierzyć własnym przeczuciom.

Via lascivia (H) występuje jeszcze rzadziej, a świadczy o wyjątkowej sile psychicznej.

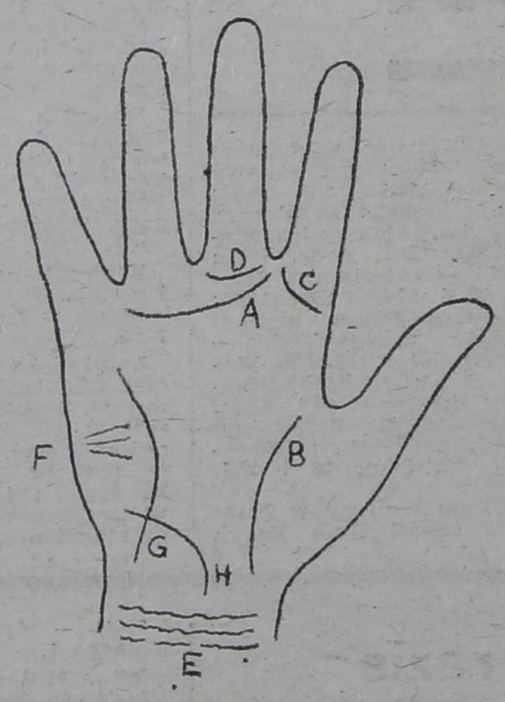

REINKARNACJA

Po przeprowadzeniu ankiety na temat „Kim chciałbyś być gdyby istniała reinkarnacja" okazało się, że na stu mężczyzn, aż 90 marzy o tym, żeby być koniem. Kobiety zdecydowanie w 97 procentach chcą być kotami.

ASTRONOMIA

Podczas gdy właściwości Księżyca udało nam się poznać całkowicie, Słońce w dalszym ciągu stanowi ciemny punkt na niebie.